TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY KOŁA WYSOKOGÓRSKIEGO PRZY ODDZIALE WARSZAWSKIM P. T. T.
WYCHODZI SZEŚĆ RAZY DO ROKU

ROCZNIK XIX ZESZYT 2

*

ZESZYT POŚWIĘCONY POLSKIEJ WYPRAWIE W ANDY

Piszą:

JAN K. DORAWSKI o Ramadzie, wynikach eksploracji i doświadczeniach fizjologicznych

ADAM KARPIŃSKI o przebiegu wyprawy, doświadczeniach górskich i ekwipunku

STEFAN OSIECKI o Mercedario i ogólnych wrażeniach z Andów

WIKTOR OSTROWSKI o Aconcagua

Ponadto zwykłe działy bieżące.

ZESZYT WYPOSAŻONY JEST W LICZNE FOTOGRAFJE, SZKICE I MAPY

*

KRAKÓW, STYCZEŃ 1935 R.

REDAKCJA: J. A. SZCZEPAŃSKI, KRAKÓW, UL. A. POTOCKIEGO 8
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

WYDAWNICTWA
SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

do nabycia za pośrednictwem Administracji «TATERNIKA»

	Zł.
TATERNIK, rocznik 1907, 1908, 1909 i 1911	wyczerpany
Do nabycia pojedyncze zeszyty:	
Nr. 3 i 6 z 1907 r. Nr. 4-6 z 1908 r. Nr. 1 oraz 3—6 z 1909 r. po	4·—
TATERNIK, rocznik 1910	20·—
— — 1912	20·—
— — 1913 wraz z 2-ma zeszytami rocznika 1914	12·—
— 5 zeszytów za lata 1915—1927	10·—
— rocznik 1928 i 1929 po	8·—
— rocznik 1930	6·—
— rocznik 1931	7·—
— zwyczajne zeszyty pojedyncze roczników 1929—1933 po	2·—
— zeszyty specjalne i podwójne po	3·—

KSIĄŻKI I BROSZURY:

I. MIECZYSŁAW KARŁOWICZ W TATRACH. Pisma taternickie i zdjęcia fotograficzne, wydane staraniem Zarządu Sekcji Turystycznej, str. XII + 82 + 1 knlb. + 26 tablic (w tem jedna rotograwjura i 6 światłodruków), tylko dla członków Sekcji	7·—
cena egzemplarza brosz.	10·—
II. KLEMENSIEWICZ ZYGMUNT: ZASADY TATERNICTWA, z rysunkami J. R., str. VIII + 192; mała 8-ka, opr.	2·—
— KOMORNICKI STEFAN: Z DZIEJÓW TATERNICTWA, Szkic. Osobne odbicie z «Taternika» 1909, str. 17	1·—
— ŁOMNICA. Praca zbiorowa. Wydanie luksusowe na kredowym papierze w 35 numerowanych egzemplarzach, Kraków 1931	5·—

Nakładem Drukarni Narodowej w Krakowie:

III. CHMIELOWSKI JANUSZ i ŚWIERZ MIECZYSŁAW: TATRY WYSOKIE, I. Część ogólna. — Doliny. 4 knlb. + str. 118

IV. — II. Przełęcze i szczyty (od Liljowego po Wagę), str. VIII+178

V. — III. Przełęcze i szczyty (od Wagi po Lodową Przełęcz), 2 knlb. + str. 176.

VI. — IV. Przełęcze i szczyty (od Lodowej Przełęczy po Przełęcz pod Kopą), str. VIII+100

Całość 15·— zł. tylko dla członków Sekcji

Wysyła się za pobraniem lub po przekazaniu należytości; na przesyłkę poleconą dołączyć 50 gr.

PRENUMERATA ROCZNA «TATERNIKA» wraz z przesyłką pocztową wynosi w Polsce 8·— Zł, zagranicą 12·— Zł.



MERCEDARIO (6800 m.) od południa.

Fot. J. K. Dorawski.

TATERNIK

ROCZNIK XIX ★ KRAKÓW, STYCZEŃ 1935 R. ★ ZESZYT 2

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ORGAN OFICJALNY KOŁA WYSOKOGÓRSKIEGO PRZY ODDZ. WARSZ. P. T. T

MERCEDARIO

PRZYGOTOWANIE

Historję ataku na Mercedario, pierwszy wysoki szczyt, z którym mieliśmy do czynienia w Andach, należałoby rozpocząć od przełęczy *Portezuelo de los Relinchos* (ok. 3160 m), z której ujrzeliśmy go po raz pierwszy w całej okazałości.

Rozłożysta przełęcz, na którą wspięły się, postękując, nasze muły, otworzyła przed nami szeroką, olbrzymiemi tarasami ku południowi opadającą dolinę *Difuntos*, przeciętą gdzieś o tysiąc metrów niżej urwistym kanjonem *Rio Blanco*. Po drugiej stronie, ujęty w ramy stromych zboczy doliny, — dominował szczyt.

Trudno go właściwie tak nazwać — raczej olbrzymi masyw, konstrukcja stożkowato zbiegających się dolin i żeber, zakończona płaskim lodowym tarasem, na którym dopiero wznosila się usypana z czerwonych piargów piramida — kopula szczytowa.

Aparaty fotograficzne i szkicowniki poszły w ruch — po drugiej stronie Rio Blanco zaczynal się już rejon Mercedario i musieliśmy dobrze utrwalić sobie w pamięci skomplikowaną konstrukcję masywu, aby móc się w niej zorjentować zbliska. Kilka godzin później przekroczyliśmy Rio Blanco. Rwąca rzeka, szerokości Dunajca, w ujściu Difuntos rozlewała się nieco szerzej, co pozwoliło mułom przejść ją wbród, przy zanurzeniu zresztą po piersi.

Tego samego dnia, po trzygodzinnej stromej «wspinaczce», stanęliśmy na górnem piętrze nieegzystującej na mapach doliny *Pichireguas*, gdzie na wysokości ok. 2990 m założyliśmy pierwszą bazę. Tu kończyła się pasza dla mułów, to również był ostatni teren znany naszym przewodnikom.

W *Pichireguas* zaczęły się normalne prace ekspedycji. Część mułów odeszla spowrotem do Tamberias po resztę bagażu — tygodniowy mniejwięcej okres czasu, dzielący nas od ich powrotu, należało wyzyskać na pierwsze prace topograficzne, meteorologiczne i geologiczne, oraz szereg wywiadów terenowych.

Na północ od naszego obozu dolina opadala stromo wdół, otwierając widok na dalekie, przekroczone przez nas niedawno pasmo *Ansilla*, od południa wznosił się pierwszy wierzcholek północnego ramienia Mercedario, obejmujący dolinę dwoma żebrami. W tym kierunku poszły pierwsze wywiady. Zdobycie tego szczytu, nazwanego przez nas «*Dokar*» (Dorawski-Karpiński) wys. ok. 4850 m, wykazało, że znajdujemy się jeszcze daleko od głównego masywu, dwa dalsze wywiady konne (Daszyński-Narkiewicz i Karpiński-Ostrowski), skierowane bardziej na wschód i południe, pozwoliły spoj-

rzeć na północne ramię Mercedario nieco zboku i stwierdzić, że składa się ono z trzech wierzchołków, za któremi znajduje się dopiero zaobserwowany przez nas taras lodowy. Chcąc się dostać w pobliże tarasu, należało przetrawersować wzdłuż północnego ramienia ogromne piarżyste plateau, opuścić się w jedną z opadających ku wschodowi dolin i tam dopiero szukać miejsca na założenie bazy wypadowej. Oczywiście było niewiadomem, czy dolina ta okaże się w górnych partjach dostępna dla mułów, w każdym razie zdawało się, żeśmy trafili dobrze, podchodząc pod Mercedario od północy i perspektywa objeżdżania masywu naokoło nie zagraża nam.

Jeszcze zanim wysłane nadół muły powróciły, rozpoczęliśmy przeprowadzkę. Obóz główny stanął na stromym, skalnym progu jednego z odgałęzień doliny *Arroyo Blanco*, w rodzaju kociołka zamkniętego od zachodu stromem zboczem, najeżonem płatami «penitentów». Paszy oczywiście tu nie było, toteż mulnicy nasi odeszli niżej, zabierając zbyteczny bagaż z poleceniem utrzymywania z nami stałego kontaktu.

Po tygodniu przenoszenie obozu dobiegło końca. Umocniliśmy nasz wielki namiot, obmurowując go kamieniami, rozgościliśmy się wewnątrz i podjęliśmy znowu żmudną pracę wywiadowczą.

W ciągu najbliższego tygodnia Karpiński i Dorawski weszli na wschodnią odnogę Mercedario ponad obozem, Narkiewicz i Ostrowski zdobyli drugi skolei wierzchołek północnego ramienia («N a r o s t», ok. 5300 m), wreszcie Karpiński, Daszyński, Dorawski i Osiecki przekroczyli wznoszącą się nad obozem «przełęcz» — okazała się ona jeszcze jednem piętrem doliny — przebyli ją i dotarli do leżącej bezpośrednio pod progiem tarasu lodowego kotlinki, wchodząc na oba obejmujące ją żebra północnego ramienia (ok. 5300 i 5400 m).

W kotlince tej znaleźliśmy nieoczekiwanie ślady pobytu ludzi w postaci zbudowanych dla ochrony przed wiatrem murków kamiennych (pochodzenia ich nie udało się ustalić), tutaj też wyznaczyliśmy miejsce na pierwszy obóz wypadowy i pozostawiliśmy część bagażu.

Wywiady powyższe pozwoliły nam ustalić ostatecznie trasę ataku, przyniosły nam również pierwsze wrażenia zetknięcia się z oddziaływaniem wysokości. Nie były to jeszcze objawy poważne, dały nam w każdym razie przedsmak tego, co nas czeka wyżej, i posłużyły za pierwsze materjały do badań fizjologicznych.

Po tygodniu uznaliśmy marszrutę za ustaloną i aklimatyzację za ukończoną, ekwipunek został sprawdzony i podzielony — byliśmy gotowi.

Dnia 15 stycznia atak się rozpoczął. Wory nasze, zawierające: żywność na 6 dni, całkowite ubranie, buty, namioty i śpiwory, ważyły przeciętnie po 24 kilo, toteż przedostanie się przez wznoszący się nad obozem próg nie należało do przyjemności. Nie mając jeszcze wypracowanej metody poruszania się w tych warunkach, szliśmy dość chaotycznie, zatrzymując się i odpoczywając nieregularnie i tracąc masę energji w walce ze stromym, sypiącym się piargiem. Po dwóch mniejwięcej godzinach stopięćdziesięciometrowy próg był zdobyty — pozostawało nam na ten dzień przejść górne, dość płaskie piętro doliny i pokonać jeszcze jeden przykry uskok.

Około godz. 17 stanęliśmy «przy murkach», zakładając nasz pierwszy obóz wypadowy.

Etap dnia następnego był jednym z przykrzejszych. Było to strome zbocze, wznoszące się wprost nad kotlinką «przy murkach» i prowadzące do owego, widzianego zdaleka lodowego tarasu. Różnica wysokości wynosiła ok. 600 m, jednak, nauczeni doświadczeniem dnia poprzedniego, patrzyliśmy na zbocze z niejakim szacunkiem.

W rezultacie, dwójki Karpiński-Ostrowski i Dorawski-Narkiewicz postanowiły robić ten etap dwa razy, wynosząc pierwszego dnia połowę bagażu, a następnego resztę, zaś dwójka Daszyński-Osiecki, zredukowawszy swój bagaż do minimum, zdecydowała się zdobyć taras jednym zamachem. Ta różnica zdań była pierwszą próbą bardziej indywidualnego traktowania zespołów dwójkowych, które w późniejszych wejściach weszło w regułę i na łatwiejsze zgranie się i dobór formy partnerów miało jaknajlepszy wpływ.

Dnia tego wszystkie dwójki osiągają taras, Karpiński wchodzi na główny wierzchołek północnego ramienia (ok. 6000 m), poczem dwie dwójki wracają do «murków», a Daszyński i ja rozbijamy obóz na progu tarasu lodowego (ok. 5700 m), postanawiając tutaj oczekiwać towarzyszy.

Nazajutrz (17 stycznia) cała ekipa znalazła się około południa w komplecie. Dalszy etap polegał na przekroczeniu płaskiego lodowca i założeniu po drugiej jego stronie możliwie jaknajwyżej ostatniego obozu. Plan ten powiódł się niezupełnie. Dwójka Daszyński-Osiecki poszła wprost przez lodowiec, pozostała czwórka postanowiła obejść go naokoło po krawędzi. W rezultacie zapadająca noc nie pozwoliła nam spotkać się w zamierzonem miejscu i ostatni obóz został założony w trzech punktach. Daszyński i ja zatrzymaliśmy się na wys. ok. 6100 m, na górnej krawędzi lodowca pod wschodnią granią Mercedario, Karpiński-Ostrowski ok. półtora km dalej w linji spadku wierzchołka (ok. 6050 m), Dorawski i Narkiewicz, którym zły stan fizyczny nie pozwolił zdążyć za towarzyszami, postanowili zanocować pośrodku lodowca w odległości ok. kilometra od obu pierwszych obozów. Trudność porozumienia się na tę odległość zmusiła w rezultacie wszystkie dwójki do stosowania indywidualnej taktyki i atakowania szczytu oddzielnie.

Ponieważ ostateczny atak odbyliśmy parami, nie utrzymując kontaktu z resztą towarzyszy, przeto ograniczę się do skreślenia osobistych wrażeń, podając tylko rezultaty akcji pozostałych dwójek.

ZDOBYCIE

Po długiej pracy ustawiania namiotu na zlodowaciałem, niedającem się zniwelować piarżystem zboczu, możemy iść spać. Miejsce na obóz mamy nieszczególne. Namiot stoi o jakieś 20 m nad lodowcem w grupie małych skałek, chroniących nas jako tako od wiatru. Po wodę trzeba złazić na lodowiec, gdzie w zagłębieniach wokoło wtopionych w lód kamieni zbierają się małe jeziorka. Nabieramy zapas we wszystkie posiadane naczynia — za chwilę słońce zajdzie i wszystko zamarznie. Zmęczeni włazimy do namiotu i gotujemy kolację, owsianka, trochę wędliny, sucharki, herbata. Apetyt niezły, badamy puls — normalny. Zapada noc gwiaździsta, prawie bezwietrzna, powietrze suche, mocno naelektryzowane. Gdy ściągamy nasze wełnianojedwabne ubrania i włazimy w worki, długie, błękitne iskry rozświetlają zupełnie wnętrze namiotu. Nie orjentujemy się, co sądzić z tego o jutrzejszej pogodzie, a zresztą chce nam się mocno spać. Ostatnia fajeczka, trochę słabnącej pogawędki, i śpimy.

Budzi nas przygrzewające przez ścianki namiotu słońce, godzina 9,30. Szybkie śniadanie i wyłazimy rozejrzeć się w sytuacji. W obozie na lodowcu (przypuszczamy słusznie: Dorawski-Narkiewicz) cisza, nikt się nie rusza. Obozu drugiego niema. O jakieś 150 metrów wyżej odnajdujemy wzrokiem sunące po piargu figurki. Oczywiście — mieli słońce o dobrą godzinę wcześniej niż my i już wyszli. Ryczymy, coś tam odpowiadają, ale nic nie można zrozumieć — odpoczywają chwilę, potem znów walą prosto w górę. W drugim obozie ciągle cisza — umarli, czy co? Krótka rada wojenna. Postanawiamy zgodnie ruszać. Gonić tamtych nie wydaje się nam celowe, musie-

libyśmy trawersować przeszło kilometr po paskudnych stromych piargach. Raczej wleźć na grań, wprost w górę i dalej nią aż do szczytu. Grań nie stroma, zdaje się wygodna, będziemy mieli widok na południe — samego szczytu nie widać, ale wiemy gdzie jest.

Powiedziane — zrobione. Po dwudziestu minutach suniemy już zakosem ku górze. Tamtych widzimy jeszcze przez chwilę, potem giną za wypukłością zbocza. Mam lekką tremę. Niby samopoczucie dobre, idzie się jako tako, ale zawsze kalkuluję, że musimy być wyżej niż 6 tysięcy m, pocieszam się, że gdybym miał chorować, to mogło się to zacząć już wczoraj — oglądam się na Stefana — idzie dobrze, ale sapie. Po godzinie złapaliśmy już rytm, idziemy regularnie, odpoczywając co jakiś kwadrans, stojąc z piersiami na czekanie — co jakieś cztery odpoczynki siadamy. Teren łatwy i równy, ale już czwarty dzień łażenia po piargach zaczyna nas denerwować. W dodatku z pogodą zaczyna coś gorzej wyglądać. Z dołu podłażą mgły, gęstnieją i szybko zakrywają widok na dolinę, robię zdjęcie efektownej dziury we mgle, potem parę metrów grzebiącego się w piargu Stefana i walimy dalej.

Grań okazuje się dalej niż przypuszczałem. Oczywiście ciągle jeszcze się mylę, mając oko przyzwyczajone do tatrzańskiej oceny odległości. Zanim dochodzimy do pierwszych skałek, mgły zasłaniają już lodowiec i zrywa się silniejszy wiatr.

Skałki zajmują nam dużo czasu. Przełazimy niezliczone żeberka i trawersujemy jadące wdół żlebiki, w dodatku zmiana terenu i konieczność używania rąk, wybija nas z rytmu i zaczynamy się męczyć. Aparat filmowy, który niosę zprzodu zawieszony na szyi, wali mnie po brzuchu. Przekładam go na plecy, pożywiamy się czekoladą, potem jeszcze parę żeberek i jesteśmy na grani. Wprost w dole widać nasz namiot, na zachód coś, co może być szczytem, ale prawdopodobnie jeszcze nim nie jest — na południe nie widać nic. Kawałek płaskiego lodowca, za nim wszystko zawalone mgłami. Coś nam się zaczyna nie podobać, ale zbyt jesteśmy zmęczeni. żeby przyśpieszyć tempo.

Grań daje nam porządną szkołę. Włazimy na pierwszy wierzchołek, potem na drugi, ciągle wyłazi ztyłu coś jeszcze wyższego. Po kilku szczytach kładziemy się i wypoczywamy.

Mgły podchodzą ciągle, zwiększają szybkość i wkońcu dosięgają nas. W ciągu 10 minut siedzimy w mleku, za dalsze 5 minut bez żadnego wstępu wali mokry śnieg, na dobitkę zaczyna gęsto grzmieć i błyskać. Lekko speszeni wyciągamy nogi, jak tylko się da, licząc, że jesteśmy już blisko szczytu.

Po pół godzinie robi się całkiem nieprzyjemnie. Samopoczucie wprawdzie dziwnie się poprawia, ale zato zaczynam czuć po całem ciele tysiące drobnych ukłuć. Patrzę na Stefana, ma dość niewyraźną minę. Specjalnie mocno kluje w rękę, w której trzymam czekan, i, nie wiem dlaczego, w plecy. Pamiętamy obaj podobne, coprawda mniej dotkliwe, zjawiska z Tatr, toteż zbytnio nas to nie przejmuje, postanawiamy jednak wleźć w jakąś dziurę i przeczekać przynajmniej śnieżycę, która oślepia i przeszkadza w marszu.

Wytrzymujemy pod kamieniem około godziny, zaczynamy marznąć, pozatem sytuacja wcale się nie poprawia. Przeciwnie, śnieg wali gęściej, burza wyraźnie zbliża się, tak, że błyskawica zlewa się prawie z grzmotem, pozatem każde uderzenie pioruna zaznacza się tak mocnem kłuciem, że w milczącem porozumieniu zrywamy się i zaczynamy iść naoślep w mgłę, trzymając się blisko krawędzi grani.

Postanawiam zrobić parę zdjęć. Zakładam do aparatu ostatnią moją kasetę, ale przemarznięty film pęka. Tego tylko brakowało. Klnąc rozpaczliwie, improwizujemy z plecaka ciemnię i postanawiamy ratować co się da,

żeby nakręcić chociaż parę metrów filmu. Robota idzie niesporo. Stefan robi straszliwe wysiłki, żeby przykryć sobą mocno przeźroczysty plecak, ja pracuję bez rękawic i ręce mi marzną. Wreszcie aparat załadowany, kręcimy parę scen i idziemy dalej. Przełazimy jeszcze jakiś szczycik i nareszcie wyłania się tuż przed nami wyraźniejsza bałucha, ozdobiona kamienną piramidką. Wokoło żadnych śladów. Wnioskujemy stąd, że Karpiński i Ostrowski opuścili szczyt już dość dawno. Patrzymy na zegarek — dochodzi czwarta.

Świadomość, że jesteśmy na najwyższem miejscu w promieniu stu kilometrów, odbiera nam wobec gęsto walących piorunów, ochotę pozostawania dłużej na szczycie, toteż ograniczamy się tylko do koniecznych formalności; zostawienie biletów, podmurowanie mocniej kopczyka, parę zdjęć, i zaczynamy wiać sromotnie wdół w przypuszczalnym kierunku naszego obozu. Przysypany świeżym śniegiem piarg jest świetnym terenem, w 40 minut jesteśmy na miejscu, krzyczymy parę razy w mgłę w kierunku obozu Dorawskiego i Narkiewicza i za pół godziny zasypiamy już przy słabnących odgłosach burzy.

Jak wiadomo z kroniki wyprawy, dwójka Karpiński-Ostrowski osiągnęła szczyt ok. godz. 2-ej i zdążyła zejść przy znośnej jeszcze pogodzie aż do obozu «przy murkach». Dorawski i Narkiewicz, czując się źle, nie próbowali wcale ataku i czekali aż do następnego dnia, poczem obie pozostałe dwójki zeszły spowrotem do obozu głównego, gdzie po dwudniowej rozsypce wyprawa zebrała się w komplecie.

Chrzest andyjski mieliśmy za sobą...

STEFAN OSIECKI

RAMADA!

Jeszcze tylko kilka metrów dzieli nas od grani! Tam, za zwalistą skałą pusta przestrzeń: niekrępowany niczem widok musi ukazać nam pasmo Ramady! Zobaczymy je po raz pierwszy dopiero, gdyż na Mercedario panowała niepogoda i mgła.

Ta nadzieja podnieca, przyspiesza tempo. Jeszcze krok... aa!

. . . .

Defilada wierchów. Lawina lodowców. Stoimy zdumieni i zachwyceni długi czas. Tyle lodu! Jeden, dwa, trzy... liczymy lodowce. Dziewięć. Poznajemy szczyty według mapy i literatury. Cerro Ramada — rozłożysty i skalisty ogrom. Alma Negra — ten stożek ciemny nad bielą lodowca. La Mesa — płaska, długa, biała. A na północ od niej niespodzianka — szczyt, o którym nikt nic nie wiedział! Wspaniała piramida ze skał i lodu. Szczyt nieznany. Szczyt «N». Odkrywamy go dla geografji, przejęci mistycznem wręcz wzruszeniem.

W kilka godzin potem, powróciwszy do obozu w dolinie Arroyo de la Laguna Blanca, opowiadamy o odkryciu towarzyszom. A szczyt, z którego ujrzeliśmy pasmo Ramady, chrzcimy imieniem Cerro Wanda.

*

Po raz drugi ujrzeliśmy ten sam widok w kilka dni potem ze szczytu Cerro Negro. W ponurym kolorycie chmurnego zmroku (na szczycie stanęliśmy o siódmej wieczorem) i w blaskach księżycowej nocy po rozejściu się chmur. Schodziliśmy stromo ku Dolinie Colorado. Nasz stok pogrążony był w zupełnej ciemności, podczas gdy lodowce Ramady lśniły poblaskiem księżyca. Były jeszcze piękniejsze, niż w dzień!

Wdole — o dwa tysiące metrów niżej — zapalono o umówionej godzinie rakiety, jako sygnał dla nas. Ujrzeliśmy je podobne do zapałek gasnących na wietrze. Wątłe ich światełka wskazały nam jednak miejsce obozu, który miał być naszą bazą przez następne trzy tygodnie.

Okres ten zaczął się pod złemi znakami. Najpierw choroba — pierwsza i jedyna w ciągu wyprawy. Grypa z anginą zmogły Stefana Os. i powaliły na «dymany materac». Równocześnie niepogody. Piękny, bezchmurny czas skończył się z chwilą zdobycia Mercedario. Teraz było coraz gorzej. Wichry i śnieżyce szalały, walczyły z nami, zrazu nawet zwycięsko. Przeglądam swój dzienniczek (spisywany systematycznie dzień po dniu w czasie wyprawy), gdzie zarejestrowałem te porażki.

. . . .

«*31. I. 34. środa.*

Osieckiemu w nocy pogorszyło się (rano 38,5°)... Wobec tego odkładamy plan wyruszenia na Alma Negra i Mesa (z Adamem i Wiktorem). W ciągu dnia następuje jednak pomyślny zwrot w chorobie. Gorączka spada.

Wieczorem wraca Daszyński — dojechał z Ignacio na wys. ok. 5800 m pod Ramadę i próbował wejść samotnie na szczyt. Spowodu niepogody zawrócił — podobno o 50 m od szczytu. Zmarzł b. silnie, a jeszcze bardziej Ignacio.

. . . .

2. II. 34. piątek.

...ruszamy [1]) mimo niepewnej pogody. Docieramy w godzinę na grań Alma Negra ponad przełęczą. Wspaniały widok na Aconcagua, błyszczącą w słońcu lodowcami. W Dolinie Los Patillos, na lodowcu zakrytym gruzem moreny kilkadziesiąt (sic!) stawków szmaragdowych i żółtych. Ściany wschodniej grani Alma Negra opadają zupełnie pionowo setki metrów wdół ku tej dolinie.

Poprzez penitenty znajdujemy drogę na górne plateau lodowca Alma Negra, którem maszerujemy kilka km, lekko wznosząc się ku górze. Cały marsz odbywał się z licznemi przerwami, powodowanemi nawrotami złej pogody ze śniegiem i namyślaniem się, czy nie zawrócić.

W chwili, gdy dążymy ku pn.-zach. grani Alma Negra, na wysokości ok. 5700 m, rozpoczyna się gwałtowna śnieżyca. Siadamy w wykopie śnieżnym, okryci płachtą Zdarsky'ego, czekamy trzy godziny na pogodę. Mgła taka, że widać tylko mleko białe. Spada ok. 20 cm śniegu.

O godz. 18-tej postanawiamy wykorzystać chwilę przejaśnienia i wracać do namiotów. W dwie godziny później jesteśmy przy namiotach, zasypanych śniegiem.

. . . .

3. II. 34. sobota.

W nocy sypał chwilami śnieg. Rano wypogodzenie częściowe. Wobec wielkiego ośnieżenia i braku nadziei pogody, postanawiamy powrócić do obozu głównego.

. . . .

4. II. 34. niedziela.

...Na graniach i na płaskiej lodowej ścianie Mercedaria szalona wi-

[1]) Z obozu wypadowego pod przełęczą Ramada 5020 m — A. Karpiński, W. Ostrowski i podpisany.

chura porywa całe chmury pyłu śnieżnego. Przez lornetę widać, jak śnieg spływa strumieniami po lodowcu . . .

. . . .

5. II. 34. poniedziałek.

W nocy gwałtowna wichura szarpie namiotem, nie dając nam spać. Trzeba wstawać, aby umacniać namiot. Ok. godz. 3-ciej chodzę z pół godziny i z trudem poprawiam jego wiązania. Niewiele to pomaga, bo wichura zaraz je rozluźnia, wyrywa kołki etc.

O godz. 9-tej nagły podmuch wiatru łamie przedni główny bambus. Namiot pada odrazu i przykrywa nas. Z trudem gramolimy się ze śpiworów i ustawiamy namiot nanowo, ale tylko do połowy wzniesiony — brzegi przyciśnięte kamieniami.

. . . .

I dalej podobne zapiski dnia 6-go i 7-go lutego. W tym okresie niepogody notuje jednak wyprawa jeden sukces — wejście Narkiewicza na główny wierzchołek Cerro Ramada. Dokonane w niepogodzie, trwało ono o jeden dzień dłużej, niż było umówione i wywołało niepokój towarzyszów, którzy nawet zorganizowali ekspedycję ratunkową. Spotkano oczywiście dzielnego samotnika w pełnej formie, schodzącego ku obozowi.

Dopiero:

«8. II. 34. czwartek.

Od rana piękna pogoda. Zbieram się z Witkiem Ostrowskim i wyjeżdżamy w południe z głównego obozu w trzy muły z Manuelem (specjalistą od Przełęczy Ramada). Jedziemy b. wolno, z licznemi zatrzymaniami się, gdyż Witek dużo fotografuje. Do penitentów lodowca Alma Negra dojeżdżamy o godz. 16-tej. Zabieramy Manuela do obozu wypadowego, częstujemy go, następnie zwijamy jeden namiot i pakujemy wraz z rzeczami Adama do wora, który zabiera Manuelo.

Namioty zastaliśmy w porządku. Obawy, że zerwała je wichura, okazały się płonne. Natomiast w jednym z nich znaleźliśmy pod śpiworem lodowe jeziorko. Śpiwór był przymarznięty do podłogi namiotu . . .

Położyliśmy się wcześnie spać.

9. II. 34. piątek.

Budzimy się o godz. 7-mej. Jest silny wiatr, który nie przyspiesza naszych przygotowań. Ruszamy o godz. 8,30 przy b. pięknej pogodzie. Ja od namiotu idę w rakobutach — Witek wymienia zwykłe buty na rakobuty przy wejściu na penitenty. Rakobuty okazują się całkiem dobre na piargu, tak w wejściu, jak w zejściu.

Idziemy drogą jak poprzednim razem, jednak wolniej, gdyż czuję się jakoś niedobrze. To też dopiero o godz. 11-tej stajemy na tarasie lodowym wśród szeregu filarów skalnych. O godz. 14-tej docieramy do najwyższych z tych filarów — i tu postanawiamy zanocować. Zabraliśmy z sobą w tym celu śpiwór i płachtę Zdarsky'ego. Miejsce obrane przez nas leży mniejwięcej na wysok. 5500 m (nieco niżej od wierzchołka Czarnego Szczytu, co nam dało podstawę do oceny). Jemy «obiad». Zostawiwszy tu wszystkie zbędne rzeczy, idziemy (o 15-tej) zrazu skosem w górę wzdłuż pn. zboczy Alma Negra. Jednak nie dochodząc do lodowca, zwracamy się wprost wgórę ku szczytowi po piargach. Na wysok. ok. 5900 m rozdzielamy się. Witek idzie szybciej naprzód — ja swem wolnem tempem podążam za nim. Po piargach dochodzimy do pn.-wsch. grani tuż pod szczytem i nią na szczyt, który osiągamy o godz. 17,45 (Witek) wzgl. 18,12 (ja).

Na szczycie robota w całej pełni. Witek na stoliku rysuje cały szereg kierunków. Fotografujemy b. dużo. Ja rysuję szereg widoków dla celów topograficznych. Budujemy pokaźny kopczyk, jednak nie na najwyższym punkcie szczytu, który jest podwieszony od wschodu i może runąć lada chwila. Zostawiamy puszkę (Glax-Ovo) z kartką i biletami wizytowemi.

Odchodzimy ze szczytu o godz. 19,35 — do miejsca noclegu przybywamy o godz. 20,30. Cały dzień był bezchmurny, nad wieczorem dopiero zaczęły się kondensować w całym masywie lokalne mgły.

Kładziemy się do śpiwora. Gotujemy tylko ciepłą lemonjadę — ja zjadam dość dużo sucharów, sera i salami. Witek nie je prawie nic. Noc zapowiada się ciepła. O godz. 21-szej mamy 4—5° mrozu.

10. II. 34. sobota.

W nocy było nam ciepło. Mimo to nie spaliśmy absolutnie nic. Nad ranem pocukrzył nas trochę śnieg. Wyleźliśmy ze śpiwora z chwilą, gdy padły na nas promienie słońca — godz. 7,30. Nad dolinami kłębi się morze mgieł — ponad niem słońce.

Na śniadanie nie jemy prawie nic: kilka łyków ciepłej lemonjady, trochę rodzynków. Ruszamy o 8,30 lodowcem Alma Negra wgórę ku przełączce pomiędzy granią główną (Alma Negra-Mesa) a żebrem odchodzącem od tejże ku trabantowi pn. Alma Negra. Następnie płaskiem zboczem śnieżnem osiągamy skalistą grań główną (ok. 5750 m). Tu spotyka nas niespodzianka. Okazuje się, że 1-o trzeba dość znacznie (ok. 150 m) obniżyć się idąc tą granią, 2-o grań jest nieporównanie dłuższa, niż sądziliśmy na podstawie oglądania jej (w skrócie). O godz. 11,20 zaczyna się zadymka, sypią krupy, potem śnieg. Chwilę czekamy pod skałami grani, potem postanawiamy iść dalej.

Grań obniża się — ze skalistej staje się śnieżna i miejscami dość ostra. Niema w niej nigdzie wyraźnej przełęczy. Stoki ku pn. b. strome, ku pd. łagodne. Osiągamy grań Mesy i idziemy po piargach i stokach śnieżnych po jej pd. stronie. Podszedłszy pod grań szczytową — poziomą — dopiero nie wiemy gdzie się zwrócić. Mgła — nic nie widać. Na szczęście odsłania się widok. Dochodzimy do skalnego «trójzęba» w grani — godz. 15-ta.

«Robota szczytowa» jest b. zepsuta złą widocznością. Zwłaszcza w kierunku Mercedario-Nieznany Szczyt nic nie widać. W każdym razie stwierdzam (podejrzewane już dawniej) rozwidlenie się grani Mesy ku zach. Główny wierzchołek jej jest tak daleko, że nie może być mowy o atakowaniu go dzisiaj, choć jest może tylko o 40 m wyższy od naszego punktu. Pora spóźniona, niepogoda i zmęczenie nie pozwalają na to. Osiągnęliśmy kulminacyjny punkt wsch. grani Mesy, który można uznać za jeden z jej wierzchołków (wszystkich byłoby pięć).

Opuszczamy szczyt o 15,40, zostawiwszy na nim niewielki kopczyk i puszkę z kartką. W drodze powrotnej nie idziemy dokładnie tak, jak w wejściu. Mianowicie, aby uniknąć wznoszenia się granią ku Alma Negra, trawersujemy w pewnem miejscu pn. stoki grani po połogich zboczach lodowych i docieramy w ten sposób do przełączki w grani ku trabantowi pn. Alma Negra, leżącej znacznie niżej (i dalej ku pn.), niż przełączka, którą przechodziliśmy rano. Po lodowcu o drobnych szczelinkach docieramy do miejsca noclegu o godz. 18,45.

Odpoczynek, picie lemonjady, zabranie wszystkich rzeczy i odmarsz o godz. 19,15. Idziemy dość szybko wdół. O godz. 20-tej znajdujemy się na wysokości grani Ramada-Alma Negra. Korzystając z tego, zwiedzam P a s o d e l a R a m a d a. Stwierdzam, że są dwie przełęcze tuż obok siebie leżące



ACONCAGUA (7035 m.) od wschodu — wraz z Lodowcem Polaków.

Fot. S. W. Daszyński.

i że od strony pd. nie są dostępne dla mułów. Opadają bowiem skalistemi żlebkami i kominami (dla turysty nietrudnemi).

O godz. 20,30 przybywamy do namiotu. Tu jemy pierwsze solidne pożywienie tego dnia!»

Wróciwszy dnia następnego do obozu głównego, nie zastaliśmy towarzyszów, którzy tymczasem wybrali się na atak do szczytu «N».

«12. II. 34. poniedziałek.

Rano śpimy długo. Właśnie jemy śniadanie (godz. 10,15), gdy donosi nam Alfredo, że Adaś wraca samotnie (señor, qui trabaja acá — z gestem wskazującym na «stół» — viene solo!). Wybiegamy zaniepokojeni, lecz woła już zdala: «dobrze, dobrze!»

Pokazuje się, że niebardzo. Szczyt Nieznany niezdobyty — Osieckiemu wczoraj kamień, który sam strącił, spadł na nogę i rozbił ją tak, że nie może chodzić. Wysyłamy zaraz Ignacio i Leoncio z mułami po inwalidę i rzeczy.

Rozmowy i opowiadania wzajemne. Około południa pogoda psuje się zdecydowanie — wali śnieg solidny aż w obozie! To wzbudza niepokój o los towarzyszów».

Albowiem Daszyński i Narkiewicz pozostali na noc na Portezuelo de los Penitentes, aby atakować raz jeszcze Cerro N. Wieczorem wracają wszyscy — i Osiecki na grzbiecie muła, i dwaj inni, spędzeni niepogodą.

Pobyt nasz w Colorado ma się ku końcowi. Jeszcze tylko jeden wypad na Cerro Ramada (14 i 15 lutego), uwieńczony II. wejściem nań A. Karpińskiego — jeszcze dzień poświęcony na uzupełnienie badań naukowych — jeszcze pożegnalna uczta, zakończona koncertem (gitara i piła) i śpiewami oraz wesołą «sobótką» przy ogromnem ognisku. Długo w czarną noc andyjską rozlegała się nowotarska nuta:

«Rozleciały mi się białe gołębisie
po lesie —
Poznam ci ja, poznam, mojego Janicka
po głosie».

JAN K. DORAWSKI

7035 METRÓW

Jaknajlżej, jaknajmniej rzeczy, nawet tych jakoby «nic nieważących»! Myśl o tem, że dźwigam przytroczone do plecaka rakobuty, irytuje i nie daje spokoju. Odrazu więc po przejściu ruchomego usypiska i wydostawszy się na olbrzymi płat zlodowaciałego śniegu, wkładam rakobuty, a zdjęte buciska umieszczam poprostu obok dużego kamienia. Zostawiam — aby zabrać w drodze powrotnej, zostawiam tak — jak tyle razy przed wejściem w ścianę tatrzańską zostawiałem...

Jeszcze z Ramady pamiętam, jak dobrze służyły nasze uzębione buty-potwory na zboczach zasłanych przemarzniętym i zlodowaciałym szutrem. Drobną operację zmiany obuwia opłacam parominutowym odpoczynkiem. Po każdym szybszym ruchu serce bije na alarm.

Odcinek drogi, jaki zdołaliśmy przebyć w ciągu pierwszych dwóch dni wchodzenia na Aconcagua, w języku taternickim można określić jako: «droga b. łatwa», należałoby jednak w celu stworzenia prawdziwego obrazu dodać



Inż. Osiecki i inż. Daszyński na moście śnieżnym lodowca Aconcagua.

(Fot. W. Ostrowski)

nową punktację, określenie, dziwnie brzmiące w zestawieniu z poprzedniem — «ogromnie wyczerpująca...».

Drugi obóz założono pod skalnym progiem, oddzielającym piarżyste zbocze od lodowca, spływającego aż z grani szczytowej. Wysokość ok. 5900 m. Przed ulokowaniem się na odpoczynek, postanawiam rzucić okiem na dalszą część drogi. Żlebikiem, zapełnionym językiem zbitego, twardego śniegu, wydostaję się nad próg.

Przede mną, jak na dłoni, oślepiającej białości droga, wiodąca na szczyt — wschodni lodowiec Aconcagua. Górna część jego dość gęsto pocięta ciemniejszemi kreskami. Szczeliny. Z dołu, nie wyglądają strasznie, dadzą się chyba obejść. Trudnem też jest określenie stromizny lodu. Dół lodowca — to rozległe płaskie plateau. Pełen otuchy złażę do towarzyszy dzielić się pomyślnemi wiadomościami.

Następnego ranka mamy silny mróz. Schowani w cieniu pionowych skał, z utęsknieniem czekamy na grzejące promienie słońca.

Zostawiwszy ekwipunek biwakowy w obozie, Adam z Janem wyruszają wcześniej. Chcą jednego dnia dotrzeć do szczytu i wrócić. Wydaje się to bardziej niż wątpliwe, ale każda dwójka jest samowystarczalną i może obierać swój sposób działania. Oddaję im na wszelki wypadek worek Zdarsky'ego.

Wydostawszy się ponad próg, widzimy niebieskawe wiatrówki kolegów już na zboczu lodowca. Posuwają się bardzo wolno z częstemi odpoczynkami. Trochę wyżej wiążą się liną. Widocznie stromizna rośnie.

Zlodowaciały śnieg, pokrywający lód, jest wprost wymarzonym! Rakobuty wpijają się swemi kolcami aż po nasadę i trzymają doskonale.

Na wysokości ok. 6350 m decydujemy założyć ostatni obóz. Wprawdzie czas pozwalał na podejście jeszcze wyżej, jeszcze dalej, ale dalsza konfiguracja terenu budziła wątpliwości, czy aby się znajdzie płaski kawałek pod namiot. Wśród ogromnych, niebieskawych turni lodowych ustawiamy nasze



Na szczycie Aconcagua (od lewej ku prawej: dr. Narkiewicz, inż. Osiecki i inż. Daszyński).

(Fot. W. Ostrowski)

domki, nasze schrony przed mrozem i wiatrem. Po chwili widzimy, że pierwsza dwójka zawraca i schodzi. Dali za wygraną.

Noc przechodzi spokojnie. Puchowe śpiwory trzymają cieplo doskonale. Natomiast niepokoi mnie gardło. Od pewnego czasu czuję jakby sterczące tam obce ciało i ból. Mam też ciągle silne pragnienie.

Rano pogoda znów idealna. Zostawiamy w obozie namioty, śpiwory, maszynki i t. d., zabieramy tylko termosy i trochę jedzenia.

Pochylenie wciąż wzrasta i wkrótce możność odbycia przyśpieszonej wędrówki wdół zmusza do asekuracji.

Stajemy przed pierwszą znaczną szczeliną. Lodowiec pękł, dolna część jego opuściła się, a górna wypiętrzyła nad szczeliną małą lecz bardzo stromą ścianką. Zabrało to nam sporo czasu i... serce łomotało jak szalone.

Trudno opisać tę część drogi, te ostatnie 400—500 m. Efektownych przewieszek, pionowych kominów i powietrznej wędrówki nad zawrotną ekspozycją nie było... Był trud wielu kroków ciężkiemi jak ołów nogami, było bicie stopni, po którym tak łapczywie łykało się ubogie w tlen powietrze, była walka z szaloną chęcią... odpocząć! doprowadzić wreszcie do porządku ten przyśpieszony bieg krwi! Było wreszcie tylko pół atmosfery ciśnienia...

W ramy żadnej formułki nie potrafiłbym ująć określenia trudności drogi, sklasyfikować je na podstawie znanych szlaków górskich. Był to dobry orzech do zgryzienia, prawdziwy kawał «niedźwiedziego mięsa» i we wspomnieniach każdego z nas zajmuje miejsce honorne.

*

Pod wieczór wyprowadziła nas grań na szczyt. Na obłożonym głazami czekanie zwisała złotem i srebrem haftowana banderka akademickiej sekcji C. A. I. Torino, włoskiej wyprawy, która w składzie 4 osób plus argentyńczyk Plantamura zaledwie parę godzin przed nami weszła i zeszła zachodniem zboczem, drogą pierwszych zdobywców.

Muszę zaznaczyć, że żadnych śladów po pierwszych 6 wejściach na szczycie nie pozostało. Oprócz biletów grupy włoskiej, w ozdobnej, specjalnie

na ten cel przeznaczonej puszce, i... tornistra porucznika Plantamury, nic nie było. Kopczyk był pusty. Czyżby manja zabierania cudzych biletów w Andach też grasowała?

Fakt, że byliśmy na szczycie tak późno, o zachodzie słońca, pozwolił nam oglądać widok niezapomniany — słońce chowające się za poziomą linją Wielkiej Wody! Przez całe Chile, przez szereg grani i grzbietów Kordyljerów!

Ze względu na pośpiech zdecydowano schodzić nieco inną drogą, wprost po największym spadku lodowca. Ciemność złapała nas nad szczeliną na wysokości ok. 6800 m.

Po krótkiej naradzie dwójka Stefanów postanawia pomimo ciemności próbować dojść do namiotów, Narkiewicz natomiast wolał zostać, odpocząć i czekać na świt.

Pozostawało więc tylko wbić czekany w śnieg i przywiązawszy się do nich, starać... nie zamarznąć do rana.

Mróz wzmagał się ciągle. Wypluta ślina zamarzała natychmiast.

Ten, kto bywał zmuszony do biwakowania w górach, zna dobrze te nieskończenie wolno płynące godziny nocne i gorące pragnienie ujrzenia jaśniejącego wreszcie wschodu!

Ból w gardle stawał się coraz dotkliwszy. Zdawałem sobie sprawę, że formuje mi się wrzód. Przyznam — kiepsko się czułem w roli pacjenta, od którego lekarz był odległy o prawie 3000 m różnicy wysokości!

Nasz obóz w Relinchos widziałem zresztą bardzo dobrze. Rozjaśniony od wewnątrz namiot wyraźnie mówił, że Adam i Jan już są w dolinie. Po chwili widziałem światełko, które rozbłysło obok namiotu i zgasło. Mógłbym doprawdy z najmniejszemi szczegółikami odtworzyć w wyobraźni scenkę, jaka tam w tym czasie rozgrywała się: to Adam odprawia swoje «praktyki» meteorologiczne, mierzy zdolność chłodzącą powietrza. Słyszałem jego głos, powtarzający codzienną formułkę: «uwaga... hop!» i widziałem Jasia naciskającego w namiocie stoper.

Zazdrośnie patrzałem wdół. Tam są ciepłe śpiwory, miękkie owcze skóry z siodeł, tam obok obozowiska szumi potok czystej wody, pozwalający gasić bez ograniczeń pragnienie, tam wreszcie można równo i spokojnie oddychać...

Nas tymczasem otaczała prawdziwa cisza międzyplanetarna. Powietrze jakby zastygło od mrozu, a ciszę absolutną przerywał rzadko huk pękającego lodowca.

Jedna, jedyna myśl uparcie tłukła się po głowie, stanowiła najwyższy sens danej chwili: nie wolno zasnąć! nie wolno zamarznąć!

Biję zesztywniałemi nogami, zacieram ręce kostniejące w szeregu rękawic, pieczołowicie zasłaniam usta, szeroko otwarte usta, wełnianym szalem.

«Śpisz? nie śpij!!», «hmm, nie śpię...» — ten krótki dialog powtarzano nieskończoną ilość razy. Ból w gardle stawał się coraz bardziej dokuczliwy, pragnienie coraz silniejsze. Z trudem przełykałem gęstą ślinę.

Księżyc oświetlił trupio białem światłem lodowce. Nie ruszyliśmy się,

aczkolwiek widoczność była dostateczna. Wreszcie pokazała się Jutrzenka. Gwiazdy zbladły. Świt. Ale wysoko stało już słońce, gdy wreszcie ruszyliśmy wdół. Po tej potwornie zimnej nocy temperatura poranku, będąca zresztą grubo pod zerem, wydawała się ożywczo-ciepłą, prawdziwem «tchnieniem wiosny»!

Schodzenie trwało długo, rozpaczliwie długo. Teren nakazywał ostrożność, a zesztywniałe członki straciły duży procent sprawności. Adam, obserwujący zdołu przez silną lornetkę nasze posuwanie się, był bardzo zaniepokojony żółwiem tempem i faktem, że tylko dwóch wracało. Stefany tymczasem korzystały z dobrze zapracowanego snu w namiotach górnego obozu.

W ciągu tego «ciepłego i słonecznego» dnia Narkiewicz odmroził sobie ręce i w konsekwencji ma miłą pamiątkę w postaci... braku jednego palca.

Przy namiotach, a raczej przy pozostałym naszym namiocie, spotkałem Stefanów, którzy, spakowawszy swoje rzeczy, gotowi byli do drogi wdół. Byłem niezmiernie wdzięczny za zostawiony termos z ciepłą herbatą. Marzenie wielu godzin spełniało się, mogłem wreszcie pić, ale przychodziło mi to z trudem, przełykanie sprawiało ból.

Jeszcze jedną noc spędziliśmy we dwóch w tym namiociku. Podwójny śpiwór grzał znakomicie, ale stan gardła niepokoił bardzo. Pośpiech i porada lekarska stawały się koniecznością.

Następnego dnia, a więc 6-go dnia naszego pobytu na Aconcagua, doszedłszy do końca łodowca, pożegnałem się z moim towarzyszem i zostawiwszy namiot, śpiwór i maszynkę poszedłem szybko wdół. Akurat przy przechodzeniu opisanego na początku żlebu zakrztusiłem się i poczułem nagłą ulgę. Wrzód pękł. Długo spluwałem materją.

Na dole piarżystego zbocza, mniejwięcej na wysokości naszego pierwszego noclegu, zobaczyłem trzy poruszające się figurki. To Adam z Janem, zmobilizowawszy jednego z naszych «baqueanos», Juana, ubrali go w zapasowe części ekwipunku i wyruszyli na nasze spotkanie. Do historji pierwszego wejścia od wschodu na Aconcagua można więc dołączyć też — pierwszą ekspedycję ratunkową na tej stronie olbrzyma!

Za kilkanaście minut ściskaliśmy się serdecznie. Płukałem gardło i piłem ciepłą herbatę z termosu. Dzielny nasz «baqueano», leżąc, wdychał z przejęciem piarg. Jest to ponoć dobry środek na... «punę»!

Koledzy poszli pomóc memu towarzyszowi, a ja z Juanem jeszcze tegoż wieczora byłem w obozie głównym, rozkoszując się wymyślną zupą wykonania Stefanów.

Następnego dnia cała ekipa była w komplecie i po krótkim odpoczynku szykowała się w drogę powrotną.

Wysoko nad nami, na oślepiająco błyszczącej czapie Aconcagua widać było czarną kreskę, szczelinę, nad którą spędziłem najwyższą i... najpiękniejszą noc w mojem życiu.

«Najpiękniejszą»!!!? Tak jest! Proszę darować mi nieudolny jej opis i uwierzyć, że... doprawdy było pięknie...

WIKTOR OSTROWSKI

KRONIKA WYPRAWY [1])

ZESTAWIŁ ADAM KARPIŃSKI

I. PRZYGOTOWANIA

Inicjatorem wyprawy był dr. Konstanty Narkiewicz-Jodko.

Pomysł odbycia wyprawy w niezbadane jeszcze gniazda górskie Andów powstał w lecie 1932 r. Realizacja przygotowań rozpoczęła się w zimie 1932/33.

1) Uzyskano poparcie Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Koła Wysokogórskiego przy Oddz. Warsz. P. T. T., oraz Zarządu Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

2) Do udziału w wyprawie zostały zaproszone przez inicjatora następujące osoby: 1) inż. Stefan Daszyński, geolog, przebywający w Jugosławji; 2) dr. Jan K. Dorawski, lekarz z Krakowa; 3) inż. Adam Karpiński, inżynier z Warszawy; 4) inż. Stefan Osiecki, architekt i filmowiec z Warszawy; 5) Wiktor Ostrowski, student Politechniki Warszawskiej. Wszyscy byli taternikami, przeważnie posiadali doświadczenie alpejskie.

3) Utworzono Komitet Wyprawy, w skład którego weszli pp.: kpt. M. B. Lepecki (przewodniczący), dyr. Czermiński, mjr. Fularski, prof. dr. W. Goetel, dr. inż. Lugeon, kpt. Miładowski, prezes St. Osiecki, prof. dr. M. Sokołowski, prof. Ziemecki, oraz wszyscy uczestnicy wyprawy.

4) Uzyskano poparcie i pomoc władz centralnych, a mianowicie: Min. Spraw Wojskowych, Min. Przemysłu i Handlu, Min. Spraw Zagranicznych, Min. Pracy i Opieki Społecznej, i Min. Oświaty i Wyznań Religijnych.

5) Ułożono ogólny plan wyprawy i podzielono funkcje pomiędzy jej uczestników.

6) Zaprojektowano i częściowo zakupiono w sklepach, przeważnie jednak wykonano specjalnie dla wyprawy, ekwipunek wysokogórski.

7) Uzyskano bezpłatne bilety okrętowe na 2 przejazdy I klasą do Buenos Aires oraz pewną ilość zniżkowych przejazdów III klasą.

8) Zawarto z «Gazetą Polską» umowę na dostarczenie pewnej ilości artykułów.

9) Uzyskano subsydja pieniężne i pewne świadczenia *in natura* oraz pomoc finansową pewnego filantropa (który nie życzył sobie ujawnienia nazwiska).

10) Przeprowadzono badania lekarskie wszystkich uczestników wyprawy (przez lekarzy-taterników: dr. W. Czarnocką-Karpińską i dr. J. Mazurka w Centr. Instytucie Wychowania Fizycznego).

11) Upakowano cały ekwipunek i sprzęt naukowy do podróży.

II. PODRÓŻ WARSZAWA—BUENOS AIRES

Uczestnicy wyprawy wyruszyli w 2 grupach:

1-sza grupa, obejmująca Daszyńskiego, Karpińskiego, Narkiewicza i Ostrowskiego wyjechała 8. XI. 1933 via Gdynia, Londyn, Southampton, następnie statkiem «Asturias» 3-cią klasą emigrancką dostała się do Buenos Aires dnia 7. XII. 1933. Po drodze w Londynie zakupiono część ekwipunku i zapoznano się z literaturą geograficzną i kartograficzną Andów.

2-ga grupa — wyjechała w składzie: Dorawski i Osiecki w kilka dni po pierwszej i via Wiedeń-Marsylja przybyła (na statku Campana — jako uprzywilejowani pasażerowie III klasy) do Buenos Aires dnia 9. XII. 1933 r. Po drodze w Wiedniu zakupiono część ekwipunku.

III. PRZYGOTOWANIA W BUENOS AIRES (8—23. XII. 1933)

Czynności w Buenos Aires obejmowały: 1) zwolnienie ekwipunku od cła (co trwało najdłużej); 2) starania o ulgowy przejazd koleją przez Argentynę; 3) nawiązanie kontaktu z instytucjami: geograficznemi, meteorologicznemi i geologicznemi i uzyskanie map i informacyj; 4) nawiązanie kontaktu i wywiady z prasą argentyńską; 5) zakup reszty ekwipunku; 6) zakup żywności; 7) uzyskanie poparcia argentyńskiego Touring-Club'u; 8) przepakowanie bagażu; 9) ustalenie ostatecznego planu wyprawy.

---

[1]) Jest to skrót z obszerniejszej całości, obrazującej dokładnie wszystkie prace i działania wyprawy. Szczupłość miejsca zmusiła nasze wydawnictwo do opublikowania jedynie samego przebiegu wyprawy, z opuszczeniem szczegółów o licznych i nader ważnych pracach naukowych, których jedynie ogólny bilans podaje końcowe zestawienie. *Przyp. red.*

Cały czas pobytu w Buenos Aires uprzyjemniła wyprawie serdeczna gościnność i opieka tamtejszej placówki dyplomatycznej z min. Mazurkiewiczem i konsulem Kraczkiewiczem na czele.

IV. PODRÓŻ BUENOS AIRES—TAMBERIAS (23—28. XII. 1933)

23 grudnia. — Wyjazd z Buenos Aires. Dla wszystkich przedziały sypialne w ekspresie. Podczas jazdy inż. King (który podróżował po Andach) udziela pożytecznych informacyj. Między innemi poddaje myśl atakowania Aconcagua od wschodu, z Doliny Relinchos.

24. grudnia. — Przyjazd do San Juan. Wilja w hotelu. Opieka władz gubernatorskich zapewniona, dzięki Touring-Club'owi. Zajmuje się wyprawą sekretarz gubernatora dr. Cantoni'ego (don Garcia de Cordoba) i dyr. robót publicznych, inż. Pawłowski (Czech).

25. grudnia. — Obiad, wydany przez gubernatora. Zwiedzanie budującego się parku w Dol. Zonda.

26. grudnia. — Zakupy benzyny, nafty. Przewiezienie bagażu z kolei.

27. grudnia. — Przejazd samochodami dobrą szosą z San Juan do Calingasta. Gościna u brata gubernatora, dr. Aldo Cantoni. Zwiedzanie posiadłości.

28. grudnia. — Przejazd samochodami do Tamberias (w Dol. Rio de los Patos), wys. ok. 1400 m. Przepakowanie ekwipunku i żywności do podróży mułami. Wydanie ekwipunku osobistego. Gościna u sekretarza gminy, p. Sabatier.

V. MERCEDARIO—RAMADA (29. XII. 1933—19. II. 1934)

Uwaga: W dalszym ciągu będą stosowane następujące skróty nazwisk uczestników wyprawy: Dasz. — inż. Daszyński; Dor. — dr. Dorawski; Kar. — inż. Karpiński; Nar. — dr. Narkiewicz; Ost. — W. Ostrowski; Oś. — inż. Osiecki.



MAPKA PRZEMARSZÓW MUŁOWYCH WYPRAWY W RAMADZIE.

29. grudnia. **Pierwszy dzień jazdy mułami.** *Pogoda: doskonała.*
Wyruszenie z Tamberias 10,00. Spowodu niedostatecznej ilości mułów, zostawiamy ok. 70% żywności do drugiego transportu. Zostaje też ekwipunek. Oś., który pojechał do San Juan naprawiać aparat filmowy i ma nas dopędzić w drodze. Upał. Teren pagórkowaty. Popołudniu docieramy do gór. Nocleg pod gołem niebem w dole Valle Ansilta, wys. ok. 2400 m.

30 grudnia. **Drugi dzień jazdy mułami.** *Pogoda: doskonała.*
Wyruszenie 10,00. Skręcamy w boczną dolinę (Pelados), aby po przebyciu szeregu grzbietów i kotlin zejść (stromo; pieszo) w Dol. Ansilta powyżej części, gdzie tworzy kenjony. Trawersowanie przeciwległem, stromem zboczem wysoko nad dnem. Wreszcie dno doliny spłaszcza się. Dnem dalej w górę do wys. ok. 3200 m. Nocleg pod gołem niebem. Mamy czterech doskonałych *baqueanos,* których nazwiska są: Iguazio Flores (najstarszy), Alfredo Flores, Leoncio Para, Manuelo Donoso.

31 grudnia. **Trzeci dzień jazdy mułami.** *Pogoda: doskonała.*
Wyruszenie 9,00. Mijamy (9,50) pierwszy płat śniegu (wys. ok. 3350 m). — W końcowym cyrku Dol. Ansilta dokucza zimny wiatr. Przykre, strome, częściowo skaliste zbocze na Przełęczy Ansilta (ok. 4200 m), który osiągamy 13,05. Pierwszy widok Mercedario. Stromy zjazd w Dol. Fierro. Mijamy wspaniałą, lodowo-skalną ścianę SW Cerro Fortuna. Na nocleg przybywamy 18,00 (płaśnia nad skalistem dnem Valle Fierro). Wys. ok. 2900 m. Ciepły wieczór: o godz. 19,30 temperatura +22° C. Wszyscy cieszą się doskonałem zdrowiem.

1 stycznia. **Czwarty dzień jazdy mułami.** *Pogoda: doskonała.*
Rano (8,00) dopędza nas Oś., który wczoraj w ciągu 17 godzin jazdy przebył nasze 2 etapy dzienne; mimo zmęczenia wyrusza zaraz dalej z nami (9,30). Boczną kotliną wgórę na Portezuelo de los Relinchos (ok. 3200 m), skąd znowu widok Mercedario, już o wiele bliżej: górne partje (od ok. 5500 m) są bezwątpienia zupełnie łatwe. — Stromy zjazd w Valle de los Difuntos. Brzeg Rio Blanco 13,45. Kąpiel; temp. wody +14° C. — Przeprawa wbród w głębokim (do 1 m) i rwącym nurcie, bez wypadków. Przebywamy grzbiet ryglowy i wchodzimy w Dol. Pichireguas, którą posuwamy się wgórę. Zakładamy obóz 18,00 na wys. ok. 2990* [1]) m.

2 stycznia. **Odpoczynek.** *Pogoda: dobra.*
3 mulników z 9 mułami odjeżdża po drugi transport. Mają się spieszyć, gdyż z atakowaniem Mercedario zaczekamy, póki z tym transportem nie otrzymamy filmu kinematograficznego.

3 stycznia. **Pierwszy trabant Mercedario.** *Pogoda: doskonała.*
1) Dor. i Kar. wyruszają na mułach (z Ignaciem) godz. 7,30 w górę doliny. Na mułach docierają do ok. 4000 m. Cel wywiadu, wierzchołek I Trabanta Mercedario (ok. 4.850 m) osiągają łatwą granią N godz. 14,00. Powrót do obozu 18,10.
2) Dasz. i Nar. — wywiad na mułach na Kopę (ok. 4000 m) w grzbiecie na SE od Valle Pichireguas. Stwierdzają dostępność dolin odchodzących na E od masywu Mercedario.

4 stycznia. **Wywiad miejsca na bazę.** *Pogoda: dobra.*
1) Kar. i Ost. jadą na mułach na grzbiet, ograniczający od N dolinę Arroyo Blanco, skąd widok na dolną część Dol. Podejścia. Ustalili miejsce na bazę operacyjną i drogę do niej. Wrócili do obozu 18,00.
2) Dasz. i Oś. udali się na Portezuelo de los Relinchos, aby zrobić zdjęcia filmowe Mercedario z przełęczy. Wrócili do obozu 19,00.

5 stycznia. **Założenie bazy.** *Pogoda: dobra.*
11,00 wyruszają Dor., Kar., Nar., Ost. do Dol. Podejścia. Cały dzień wieje silny wiatr SW. Na miejsce obrane dla bazy (ok. 4420* m) przybywają 16,00. Stawianie i urządzanie namiotu (dużego) trwa do 20,00, utrudniane przez wicher. Ignacio z mułami wraca do Pichireguas. Dasz. i Oś. pozostali tam dla celów fotograficznych.

6 stycznia. **Wywiad na próg.** *Pogoda: b. dobra.*
Popołudniu przybywają Dasz. i Oś. przywożąc dalszą część bagażu. Kar. wyrusza 17,00 dla wyszukania dobrej drogi przez próg doliny, zamknięty mniszkami. Zakłada szlak i zagląda ponad progiem (ok. 4700 m) na dalszą, płaską część doliny. Wraca do bazy 20,00.

7 stycznia. **Drugi trabant Mercedario.** *Pogoda: b. dobra.*

---

[1]) O pomiarach wysokości przez wyprawę por. str. 71. Wyniki pomiarów hypsotermometrem są zaokrąglone do 10 m i w tekście oznaczone gwiazdką. Wyniki pomiarów aneroidem (G. Gerlach Nr. 23429) ze względu na złą kompensację termiczną i niepewność odnośnej poprawki są zaokrąglone do 50 m.



Fot. W. Ostrowski

U PROGU NIEZNANEJ ZIEMI



Fot. A. Karpiński

PO ŚWIEŻYM ŚNIEGU

1) N a r. i O s t. wyruszają 9,00 dla zwiedzenia II Trabanta półn. Mercedario (ok. 5300 m). Wierzchołek osiągają granią E godz. 14,15. Wracają do bazy między 16,45 i 17,30.

2) D a s z.-O ś. oraz D o r.-K a r. wyruszają 8,45 w górę Dol. Podejścia. Druga dwójka niesie część ekwipunku obozu pośredniego, którego położenie ma wywiad ustalić. Po zwrocie doliny na S, na wys. ok. 5170* m znajdują omurowania, w których postanawiają założyć obóz pośredni.

Dla upewnienia się co do dalszej drogi, odbyli następujące wywiady: a) D a s z.: w głąb doliny, na następne piętro nad «murkami» (ok. 5300 m); b) K a r.: na grzbiet, ograniczający od SE Dolinę Podejścia (ok. 5200 m); c) O ś.: na grań N Wielkiego Filara, poprzez mały lodowiec zboczowy (ok. 5350 m); d) K a r.: na grań E Wielkiego Filara (ok. 5400 m).

Te wywiady ustaliły drogę na Mercedario we wszystkich szczegółach, z wyjątkiem małego odcinka trawersu między granią E Wielkiego Filara i Lodowym Tarasem N. Powrót do bazy między 17,35 i 18,00.

8 s t y c z n i a. **Odpoczynek.** *Pogoda: doskonała.*

9 s t y c z n i a. **Odpoczynek.** *Pogoda: doskonała.*

Przybył Ignazio z mułem jucznym niosącym żywność.

10 s t y c z n i a. **Wywiad na grzbiet.** *Pogoda: doskonała.*

D o r. i K a r. wyszli na taras (ok. 5100 m) grzbietu, ograniczającego od S Dol. Podejścia, dla ustalenia szlaku na ostatnim niewiadomym odcinku.

11 s t y c z n i a. **Odpoczynek.** *Pogoda: doskonała.*

12 s t y c z n i a. **Powrót do Pichireguas.** *Pogoda: dobra.*

10,30 nadjechał Alfredo z mułami wierzchowemi i wiadomością, że nadszedł 2-gi transport bagażu z Tamberias. Ruszamy wszyscy w dół, na dawne obozowisko w Pichireguas, gdzie przybywamy 15,00. Nadszedł film i żywność. Wciąż tylko brak benzyny (do składanych prymusów), którą p. Sabatier poratował podobno jakiegoś automobilistę.

13 s t y c z n i a. **Filmowanie.** *Pogoda: dobra.*

14 s t y c z n i a. **Przejazd do bazy. Przygotowania.** *Pogoda: średnia.*

Pierwszy raz widzimy większe zachmurzenie. W bazie pada nawet nieco krup śnieżnych. Wyruszamy z Pichireguas 11,00. Przyjazd do bazy 16,15. D a s z. pojechał w dół Dol. Arroyo Blanco, aby znaleźć nowe miejsce na obóz mulników i pozostał tam na noc. W bazie zaczynają się zaraz przygotowania do ataku na Mercedario, które trwają do 0,30.

15 s t y c z n i a. **Pierwszy dzień ataku: „murki".** *Pogoda: doskonała.*

W południe przyjeżdża D a s z. Wyruszenie z bazy między 12 20 i 13,30. Wielkie obciążenie (wory ważą do 24 kg) zwalnia tempo: do obozu pośredniego «na murkach», przybywają uczestnicy wyprawy ok. 20,00. Ustawienie namiotów odbywa się jeszcze za dnia (ściemnia się dopiero po 21,00).

16 s t y c z n i a. **Drugi dzień ataku. Wielki Filar.** *Pogoda: doskonała.*

O s t. rusza godz. 10,00 wdół, do bazy, po resztę swego ładunku. — 11 10 wyruszają wgórę z częścią swych ładunków D o r., K a r., N a r. — 13,45 wyruszają wgórę z całym swym ładunkiem D a s z. i O ś. — 14,30 K a r. osiąga siodełko w grani E Wielkiego Filara (wys. ok. 5600 m.). 16 10 K a r. i D o r. osiągają dolną część Tarasu północnego (ok. 5700 m); N a r. składa swój ładunek na trawersie za siodełkiem (ok. 5650 m) i wraca do obozu pośredniego; to samo czyni D o r. po złożeniu ładunku na tarasie. — K a r. posuwa się tarasem na W, składa ładunek, zwraca się na N i po łatwych blokach osiąga o godz 18,55 wierzchołek Wielkiego Filara (ok. 6000 m); wraca do obozu (19,10—20,10). 19,00 D a s z i O ś. osiągają dół tarasu północnego i zakładają obóz.

17 s t y c z n i a. **Trzeci dzień ataku: obozy wypadowe.** *Pogoda: doskonała.*

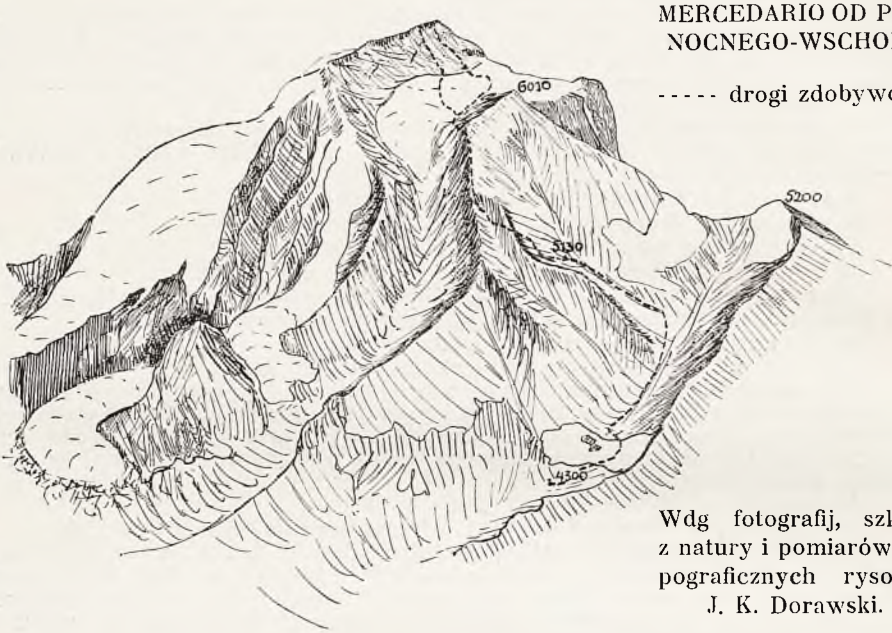
8,25 D o r. rusza z «murków» z resztą swego ładunku. — 9,15 K a r. i O s t. ruszają z resztą swego ładunku. — 10,10 N a r. rusza z resztą swego ładunku. — 11,35 D o r., K a r. i O s t. osiągają siodełko 5600 m. — 12 05 ci sami osiągają obóz dwójki D a s z.-O ś., gdzie odpoczywają. — 13,10 K a r. rusza w głąb tarasu, zabierając po drodze swój ładunek. — 13,30 ruszają D a s z.-O ś., trawersując zaraz lodowiec tarasowy ku S. — D o r. i O s t. czekają na N a r., poczem wraz z nim ruszają szlakiem K a r. — 16,30 K a r. czeka na O s t., poczem razem przebywają lodowiec w linji spadku wierzchołka. Dwójka D o r.-N a r. posuwa się ok. 1 km za nimi. — 19,00 dwójki D a s z.-O ś. i K a r.-O s t. zakładają obozy wypadowe nad południowym brzegiem lodowca (wys. ok. 6100 m). Obozy te stoją w odległości ok. 1,5 km od siebie. — 19,10 dwójka D o r.-N a r. zakłada obóz na lodowcu (ok. 6000 m) w odległości ok. 1 km od reszty. Obaj czują wpływ wysokości. — Dwójka K a r.-O s t. nocuje bez namiotu, zato ma płachtę Zdarsky'ego.

18 stycznia. **Mercedario.** *Pogoda: do 15,00 b. dobra; po 15,00 b. zła.*

9,00 dwójka Kar.-Ost. rusza ku szczytowi najkrótszą drogą, porozumiawszy się uprzednio z pozostałemi obozami. — 10,00 rusza wprost w górę, ku grani szczytowej NE dwójka Dasz.-Oś. — Dwójka Dor.-Nar. postanawia nie iść spowodu złego samopoczucia. — 14,05 dwójka Kar.-Ost. osiąga wierzchołek Mercedario (wys. ok 6800 m [1])), gdzie pozostaje do 15,000, robiąc fotografje i budu-

MERCEDARIO OD PÓŁNOCNEGO-WSCHODU

- - - - - drogi zdobywców



Wdg fotografij, szkicu z natury i pomiarów topograficznych rysował J. K. Dorawski.

jąc kopczyk. Azymutowanie uniemożliwiają coraz gęstsze chmury. — 16,30 dwójka Dasz.-Oś. osiąga wierzchołek po grani NE, w burzy od godz. 15,15, filmując po drodze (ok. 180 m taśmy); wśród burzy śnieżnej i elektrycznej dokonywują naprawy aparatu filmowego. Dobudowują kopczyk i o godz. 16,45 opuszczają wierzchołek, schodząc najkrótszą drogą (zboczem) do swego obozu wypadowego, gdzie nocują. — Dwójka Kar.-Ost. przeczekuje nawałnicę na brzegu lodowca, poczem idzie «na murki», odwiedzając po drodze obóz Dor.-Nar., którym pozostawia śpiwór. Dor. i Nar. postanawiają pozostać do jutra w swym obozie, aby w razie dobrych warunków nazajutrz próbować wejścia. 18,30 Kar.-Ost. przybywają «na murki»; Kar. robi pomiary meteorologiczne. Wieczorem przejaśniło się. Świeżego śniegu «na murkach» około 10 cm.

19 stycznia. **Powrót do bazy.** *Pogoda: b. dobra.*

11,00 dwójki Dasz.-Oś. oraz Dor.-Nar. po zwinięciu obozów wypadowych ruszają wdół. Przy «murkach» pozostawia dwójka Dor.-Nar. swe ładunki. Obie dwójki przybywają do bazy 16,40.

11,30 dwójka Kar.-Ost. po zwinięciu obozu «na murkach» rusza wdół i przybywa do bazy 12,30.

20 stycznia. **Odpoczynek.** *Pogoda: b. dobra (popołudniu przechodzi burza elektr.-gradowa).*

21 stycznia. **Filmowanie.** *Pogoda: dobra.*

Dor.-Nar. wyruszają popołudniu «na murki», aby zabrać swe ładunki. Wracają 20,30 zziębnięci spowodu wielkiego wichru nad progiem.

22 stycznia. **Pakowanie.** *Pogoda: spoczątku dobra, później zła.*

Od 15,00 do 20,30 pada obfity śnieg: musimy wzmacniać słupki namiotu, gnące się pod ciężarem śniegu i często oczyszczać dach.

23 stycznia. **Przejazd do obozu w Dol. Arroyo Blanco.** *Pogoda: przedpołudniem doskonała; popołudniu średnia.*

[1]) Obliczenie danych aneroidu dało cyfrę 6807 m.

12,30 przybywa Alfredo z mułami; pakowanie reszty bagażu, zwijanie obozu. 16,00 wyruszamy wdół doliny. 18,30 przybywamy do obozu mulników w Dol. Arroyo Blanco na wys. ok. 3630* m. Tam Dor.-Kar. ustawiają mały namiot, reszta urządza się pod wielką płachtą, rozpiętą na kamieniach i skrzyniach.

24 stycznia. **Wywiady.** *Pogoda: przedpołudniem doskonała; popołudniu średnia.*

1) Dasz.-Oś. wyruszają na mułach z Alfredem wgórę Dol Arroyo Blanco, aby zbadać dostęp do Paso Amarillo (z myślą o przeprawie do basenu Colorado). Znajdują stromy lodowiec, pokryty częściowo piargiem, którym z trudem docierają pod przełęcz; szlak dla «tropy» nieodpowiedni. Wracają do obozu 18,30.

2) Dor., Kar., Ost. wyruszają na mułach 12,00 wdół Dol. Arroyo Blanco, aby zwiedzić Laguna Blanca, jedyne większe jezioro górskie po stronie argentyńskiej. Po drodze Dor. i Ost. polują, bezskutecznie zresztą, na guanaco. Nad staw (ok. 3150 m) przybyli 14,00. Powrót do obozu 18,00.

25 stycznia. **Kamienna Kopa.** *Pogoda: przedpołudniem doskonała; popołudniu średnia.*

Popołudniu Dor.-Kar. idą na bliską Kamienną Kopę (ok. 4000 m) dla celów topograficznych.

26 stycznia. **Cerro Wanda.** *Pogoda: doskonała.*

10,00 Dor.-Kar. i Leoncio ruszają na mułach wgłąb Cordon del Mercedario z zamiarem zwiedzenia jednego ze szczytów dla celów topograficznych. 11,45 odsyłają muły (wys. ok. 4300 m), po przebyciu stromo wznoszącej się, zasłanej ostrym piargiem i maliniakiem doliny. 16,20 osiągają wierzchołek szczytu drugiego co do wysokości w gnieździe i nadają mu nazwę Cerro Wanda (ok. 5200 m); tam pozostają do 18,00. Niezrównany widok na całe pasmo Ramada; pierwszy widok na nienazwany szczyt (Cerro «N»), który choć sąsiaduje z Mercedario, był z niego niewidoczny spowodu chmur. Powrót do obozu 20,30.

27 stycznia. **Cerro Negro; przejazd do basenu Colorado.** *Pogoda: przedpołudniem doskonała, popołudniu średnia.*

Wymarsz 12,00 z pozostawieniem części bagażu do następnego transportu. Stromym, miejscami trudnym dla mułów terenem, docieramy 14,30 na Paso Ancho (ok. 4700 m), przełęcz między Cerro Negro i Cordon del Mercedario. Karawana zjeżdża bardzo stromo wdół do basenu Colorado, gdzie o godz. 19,00 obozuje na wysok. 3670* m. W czasie zejścia z przełęczy jeden z mułów ponosi i gubi ładunek. Tymczasem Dor., Kar., Ost. idą żebrem NE na wierzchołek Cerro Negro (ok. 5550 m), gdzie docierają 18,40. Na szczycie pozostają do 20,05, poczem żebrem SE i lodowcem zboczowym schodzą na Paso Ancho (21,30). W przepięknej pogodzie księżycowej dochodzą do obozu w Colorado o godz. 23,30.

28 stycznia. **Założenie nowej bazy.** *Pogoda: b. dobra.*

29 stycznia. **Odpoczynek.** *Pogoda: przedpołudniem dobra; popołudniu zła.*

Oś., który poprzedniego dnia zapadł na anginę, mimo choroby filmował skórowanie guanaco, czem zaszkodził sobie (gor. 39,4° C).

30 stycznia. **Wywiad na lodowiec.** *Pogoda: dobra.*

1) 11,30 Dor., Kar., Ost. wyruszają na wywiad ku lodowcowi, spływającemu z basenu między La Mesa i Cerro «N». Stwierdzają, że droga przez stromy próg jest nader uciążliwa, zaś sam lodowiec na przestrzeni całego niemal basenu (ok. 4400 m) (kilka km rozciągłości) połamany w wielkie iglice lodowe. Powrót do bazy 19,30.

2) Nar. odbył wywiad pieszy na grzbiet, ograniczający od W Dol. Ramada, aby obejrzeć drogę na Cerro de la Ramada.

3) Dasz. odbył na mule wycieczkę w Dol. Ramada dla celów geologicznych Oś. jeszcze chory.

31 stycznia. **Pierwszy atak na Cerro de la Ramada.** *Pogoda: przedpołudniem dobra; popołudniu zła.*

Dasz. wyjechał z Ignaziem na mułach na zbocza Cerro de la Ramada do wys. ok. 5900 m. Tam zostawił muły i szedł jeszcze do wys. ok. 6150 m poczem zawrócił spowodu złej pogody. Wrócił do bazy o godz. 22,00.

1 lutego. **Wyruszenie na szczyty.** *Pogoda: przedpołudniem b. dobra; popołudniu zła.*

11,15 wyruszają z bazy Dor., Kar., Nar., Ost. na mułach z Manuelem i Leoncio. Razem posuwają się w górę Dol. Ramada; na wys. ok. 4000 m rozdzielają się:

1) Nar. i Leoncio udają się wlewo, na zbocza Cerro de la Ramada. Stromym, miejscami trudnym dla mułów terenem, dostają się na taras w północnych

zboczach szczytu Ramada (wys. ok. 5600 m). Tam pozostaje (godz. 15,00) Nar. ze śpiworem i płachtą Zdarsky'ego na biwak, odsyłając muły do bazy.

2) Dor., Kar., Ost. z Manuelem jadą dalej w górę Dol. Ramada. Odsyłają muły na wys. ok. 4900 m, ponieważ drogę zagradza zupełnie język lodowca. Zakładają obóz (godz. 16,20) (2 namioty szturmowe) na wys. ok. 5020* m.

2 lutego. **Cerro de la Ramada.** *Pogoda: przedpołudniem średnia; popołudniu zła.*

1) Nar. wyrusza 10,30 ze swego biwaku. Zboczem i granią N osiąga wierzchołek (główny) Cerro de la Ramada (ok. 6335 m) o godz. 19,00, idąc kilka godzin w śnieżycy. Na szczycie do 19,30, poczem powrót do biwaku (godz. 1,00) utrudniony przez śnieg, mgłę i ciemności.

2) Dor., Kar., Ost. wyruszają 7,40, osiągają grań nad Paso Ramada (ok. 5200 m) godz. 9,30. Przechodzą na taras lodowy N. Alma Negra i posuwają się nim do ok. 5700 m; zawracają pod wieczór do obozu spowodu braku widoczności (wejście na Alma Negra jest ważne ze względów topograficznych). Obóz 19,30.

3) Dasz. wyjechał wieczór naprzeciw Nar. i zaniepokojony tem, że tamten w ustalonym terminie nie wraca mimo złej pogody, zarządził na następny dzień ekspedycję na pomoc. Oś. czuje się już dobrze i postanawia wziąć w niej udział.

3 lutego. **Powrót do bazy.** *Pogoda: przedpołudniem b. dobra; popołudniu zła.*

1) Dasz. i Oś. wyruszają z Ignaziem i Leonciem 9,00 i spiesznym marszem jadą na zbocza szczytu Ramada. Na wys. ok. 5550 m spotykają (koło 12,00) Nar. idącego wdół. Wracają z nim do bazy (15,45). Po drodze wysłał Dasz. Manuela z wieścią o ekspedycji do Kar.

2) Dor., Kar., Ost. spowodu niepewnej pogody wracają do bazy, zostawiając na miejscu obóz. Wkrótce (11,45) spotykają Manuela z depeszą i przyspieszają zejście. Uspokaja ich widok (przez lornetę) ekspedycji wracającej wraz z poszukiwanym. Dochodzą do bazy 15,00.

4 lutego. **Odpoczynek.** *Pierwszy dzień wichru. Słońce.*

5 lutego. **Pomiary porywistości wiatru.** *Drugi dzień wichru. Słońce.*

6 lutego. **Wywiad drogi na Cerro „N".** *Trzeci dzień wichru. Częściowe zachmurzenie.*

Popołudniu wyruszają Dasz.-Oś. mułami na wywiad w kocioł między Cerro «N» i Mercedario, aby zbadać możliwości drogi na Cerro «N» Znajdują łatwy dostęp do grani północnej «N»; samą grań uważają za możliwą do przejścia; widzieli też możliwość przejścia na stronę E szczytu. Dor. i Kar. zakładają bazę pomiarową dla topografji basenu Colorado.

7 lutego. **Pomiary na bazie.** *Czwarty dzień wichru. Pogoda: zła.*

8 lutego. **Powtórne wyruszenie na Alma Negra.** *Pogoda: dobra.*

12,10 wyruszają Dor.-Ost. do wysokiego obozu w Dol. Ramada, skąd przez Manuela odsyłają jeden namiot i ekwipunek Kar.

9 lutego. **Alma Negra. Wyruszenie na Cerro „N".** *Pogoda: doskonała.*

1) Dor.-Ost. wyruszają w górę 8,30; Dor. od obozu idzie odrazu w rakobutach. Sprzęt biwakowy zostawiają na wys. ok. 5450 m (nad tarasem lodowym). Po odpoczynku (14,00 do 15,00) idą na wierzchołek Alma Negra (ok. 6140 m), który osiągają zboczem N między 17,45 i 18,12. Na szczycie pozostają do 19,35. Schodzą do rzeczy i biwakują (20,30).

2) Dasz., Kar., Nar. i Oś. wyruszają z Ignaciem, prowadząc jednego muła jucznego. Po złej dla mułów morenie lodowca S Mercedario docierają (11,30) do wys. ok. 4750 m, skąd odsyłają muły. Dalej (15,30) pieszo rozległym stokiem lodowca, który cały jest pokryty «mniszkami». Kierunek pochodu: przełęcz w grani Mercedario—Cerro «N», nazwana przez nas Portezuelo de los Penitentes. Godz. 18,45 rozbijają na spłaszczeniu lodowca między dwoma poprzecznemi szczelinami obóz (wys. ok. 5000 m).

10 lutego. **La Mesa V. Portezuelo de los Penitentes.** *Pogoda: średnia.*

1) Dor.-Ost. ruszają z biwaku 8,50 w kierunku La Mesa. Wchodzą stromo na poziomą grań szczytową La Mesa i w zadymce śnieżnej osiągają 15,00 pierwszą kulminację wschodniej grani, którą oznaczają jako La Mesa V. Spowodu niepogody nie idą do odległego jeszcze głównego wierzchołka. 15,40 schodzą do obozu w Dol. Ramada, gdzie przybywają o godz. 20,30.

2) Grupa pod Cerro «N» wyrusza 12,15. Cały czas idąc wśród mniszków o godz. 18,45 osiąga Portezuelo de los Penitentes (ok. 5450 m), gdzie rozbijają obóz: Dasz.-Oś. w namiocie, Kar.-Nar. w głębokiej szczelinie brzeżnej lodowca.

11 lutego. **Atak na Cerro „N".** *Pogoda: średnia.*

1) Dor.-Ost. likwidują obóz w Dol. Ramada, wyruszają wdół (11,15), dochodzą do bazy 16,00, zwiedzając po drodze jeziorka w lodowcu.



Fot. J. K. Dorawski

PRZEMARSZ PRZEZ RIO BLANCO



Fot. J. K. Dorawski

PASMO RAMADY OD PÓŁNOCNEGO-WSCHODU

2) Grupa pod Cerro «N» wyrusza 9,45. Z przełęczy drogą, znalezioną przez Oś. dość trudnym kominkiem ok. 10 m wdół na stronę W, poczem długi, miejscami nieco trudny trawers (z przekroczeniem kilku żeber skalnych i zalodzonych żlebów) wyprowadza ich na grań przy środkowym uskoku (ok. 5450 m) o godz. 14,00. — Oś. próbując wspinać się dolną częścią uskoku, strąca wielki blok, który go dotkliwie uderza w nogę, uniemożliwając dalszą wspinaczkę. Kar. i Oś. wracają na przełęcz (17,40), poczem zabrawszy ładunki, schodzą do obozu na lodowcu (20,00), który Kar. likwiduje (20,30); postanawiają schodzić dalej, do miejsca dojazdu mułów, aby ułatwić zabranie Oś., gdyby stan jego nogi pogorszył się w ciągu nocy. Do moreny przybywają 21,30, gdzie ustawiają namiot. Oś. szedł cały czas od miejsca wypadku w uciążliwym terenie, mimo silnej bolesności szybko i nad wyraz dzielnie. Dasz.-Nar. pozostają na noc na Portozuelo de los Penitentes z zamiarem powtórzenia ataku nazajutrz przez dalszy jeszcze trawers zboczami W szczytu.

12 lutego. **Odwrót do bazy.** *Pogoda: zmienna.*

1) Kar. rusza 8,15 do bazy, gdzie przybywa 10,15, zarządzając niezwłoczny odjazd mułów po Oś. i ładunek obozu na morenie.

2) Oś. czeka w obozie na muły; zjeżdża do bazy 17,30.

3) Dasz.-Nar. wobec niepewnej pogody decydują powrót do bazy. Zaczynają zejście 11,00 w śnieżycy i mgle. 16,00 osiągają morenę. 20,00 docierają do bazy, pozostawiwszy ładunki na morenie.

13 lutego. **Odpoczynek.** *Pogoda: doskonała.*

14 lutego. **Filmowanie scen lodowych.** *Pogoda: przedpołudniem b. dobra; popołudniu zła.*

1) Dor. i Kar. wyruszają 10,00 z Leonciem na zbocza Cerro de la Ramada. Po drodze zwiedzają wzniesienie (Kopa nad obozem, ok. 4500 m), gdzie znajdują kopczyk ustawiony przez Dasz. podczas jego pierwszej wycieczki w Dol. Ramada. O godz. 15,00 dojeżdżają na taras pod Cerro de la Ramada, na wys. ok. 5750 m. Odsyłają muły spowodu zaczynającej się niepogody i ustawiają namiot na zlodzonym piargu. Całą noc trwa silny wicher.

2) Dasz., Nar., Oś. i Ost. pojechali (10,30) na pojezierze w Dol. Ramada (ok. 3850 m). Wrócili do bazy koło 16,00.

15 lutego. **Cerro de la Ramada N. i S.** *Pogoda: zmienna; wicher.*

Dor. i Kar. wyruszają w kierunku szczytu jeszcze w ciemności (5,20), chcąc wykorzystać najlepszą zwykle poranną widoczność. Idą b. powoli w silnym wichrze i mrozie. 7,10 dochodzą do grupy skałek (ok. 5900 m), gdzie oczekują wschodu słońca. Ze względu na pogorszenie pogody (chmura śniegowa nad szczytem) decydują powrót do obozu wypadowego, gdzie przychodzą 8,30 i zaraz zasypiają po prawie bezsennej nocy. — W południe, korzystając z chwilowego przejaśnienia, postanawia Kar. iść na szczyt. Dor., postanawia zostać w obozie. 12,20 Kar. wyrusza wgórę. 13,35 mija skałki (5900 m). Na grani N wicher ma nasilenie huraganu. Tuż przed ostatnią turnią szczytową nadchodzi chmura śniegowa, która znosi zupełnie widoczność, uniemożliwiając pracę topograficzną. 15,55 osiąga wierzchołek N (główny) Cerro de la Ramada, gdzie zastaje kopczyk i bilet Nar. Temperatura: —15° C. — Przechodzi, obchodząc wlewo uskok graniowy, na siodło i dalej na wierzchołek S, który okazuje się niższy o ok. 20 m (16,20). Buduje kopczyk i schodzi lodowcem, zaczynającym się na siodle, do obozu (17,20). — Dor.-Kar. wyruszają (19,00) do bazy, gdzie przybywają 22,00. Przed zachodem słońca wiatr przycichł.

16 lutego. **Pakowanie.** *Pogoda: b. dobra.*

17 lutego. **Pierwszy dzień zejścia.** *Pogoda: b. dobra.*

12,30 wymarsz w Dol. Colorado. 18,30 zatrzymanie się na nocleg, w wys. ok. 2700 m.

18 lutego. **Drugi dzień zejścia.** *Pogoda: b. dobra.*

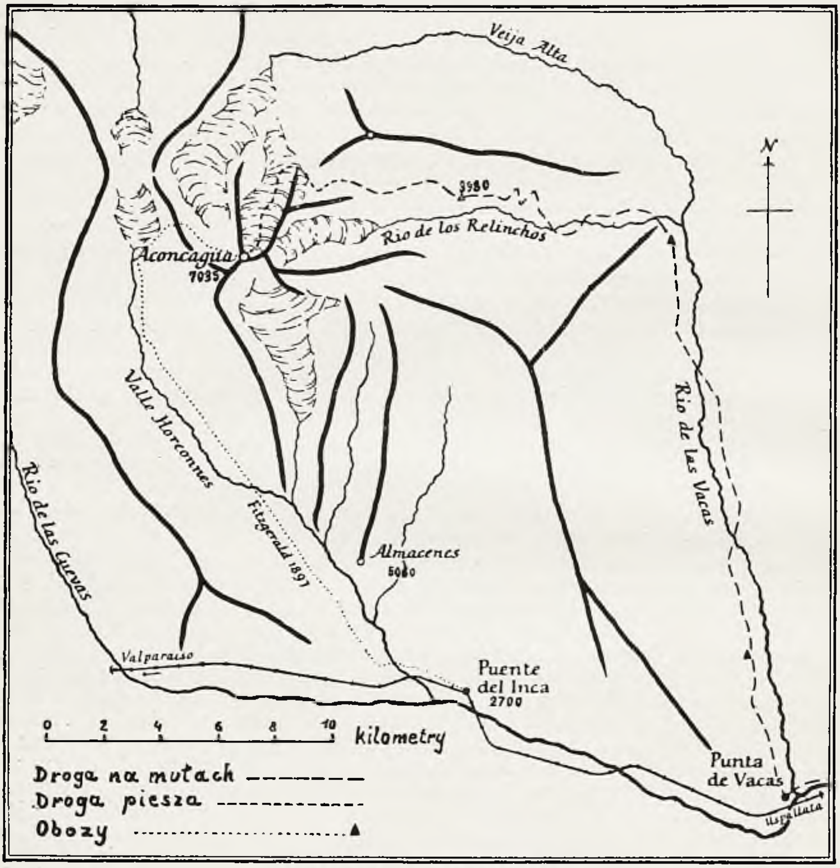
Wyruszamy 11,30, jadąc wciąż wdół Colorado, łatwym terenem. Piękna scenerja i roślinność. — 16,00 przybywamy do Casa Amarilla, gdzie pozostajemy w gościnie u p. Jorge Echeverriá (wys. ok. 2000 m).

19 lutego. **Trzeci dzień zejścia.** *Pogoda: doskonała.*

Wyruszamy 9,45. Zaraz przekraczamy Rio Blanco, wydostajemy się na wyżynę (ok. 2500 m), którą okrążamy przełom rzeki. Popołudniu zjeżdżamy w Dol. de los Patos. Przebywamy rzekę wbród. 20,00 przybywamy do estancji don Julio Alamos, gdzie nas podejmują pp. Echeverriá.

VI. CALINGASTA—USPALLATA (20. II.—1. III. 1934)

Dnia 20 lutego przybyliśmy karawaną do Tamberias, następnego dnia do Calingasta, gdzie rozwiązała się ostatecznie karawana. Żegnaliśmy z żalem naszych czterech dzielnych baqueanos. Zamieszkaliśmy w pensjonacie w ciągu 22—23 lutego, oczekując wyjaśnienia sytuacji w San Juan, gdzie właśnie odbywała się rewolucja. Wynajęliśmy wreszcie auto ciężarowe i wyjechaliśmy 23-go wieczór w stronę Uspallata, aby stamtąd rozpocząć akcję pod Aconcagua. — Dnia 24 lu-



OKOLICE ACONCAGUA.

tego przybyliśmy do Uspallata, gdzie zamieszkaliśmy w hotelu. Nazajutrz pojechali D a s z., N a r. i O ś. do Mendoza, aby załatwić sprawunki i wejść w kontakt z Touring Club'em i władzami. — Tymczasem D o r. i K a r. kreślili mapki, pisali artykuły i przygotowywali bagaż na Aconcagua. Dnia 27 l u t e g o wrócił z Mendoza N a r., zaś 1 marca D a s z. i O ś. po załatwieniu sprawunków, lecz nie osiągnąwszy pomocy władz. — D a s z. załatwił sprawę karawany, wynajmując ją od administracji dóbr Uspallata. — Postanowiliśmy próbować wejścia na Aconcagua drogą proponowaną przez Mr. King'a.

VII. ACONCAGUA (2.—13. III. 1934)

2 m a r c a. **Uspallata — Dol. de las Vacas.** *Pogoda: doskonała.*

Wyruszamy samochodami (11,00) do Punta de las Vacas, gdzie przybywamy 16,00. Wkrótce przybywa *tropa*. Wyruszamy o godz. 18,00 karawaną w górę Dol. de las Vacas. Mamy 2 mulników i 5 mułów jucznych. Tropa porusza się szybciej niż tamta, z Ramady, marsz jest jednak powolniejszy skutkiem częstych wypadków zrzucania juków przez muły. — 19,00 rozbijamy obóz.

3 marca. **Marsz Doliną de las Vacas.** *Pogoda: bardzo dobra.*

Wyruszamy 10,00. — Monotonny marsz doliną. — 18,30 przybywamy do ujścia Dol. Arroyo de los Relinchos, gdzie zatrzymujemy się na nocleg. — Mamy pierwszy widok Aconcagua od wschodu, groźnej góry, objętej koroną chmur burzowych.

4 marca. **Marsz Doliną de los Relinchos, założenie bazy.** *Pogoda: średnia.*

10,30 ruszamy w górę Dol. Relinchos. Teren trudny dla mułów. Górna część doliny płaska, łatwa. Dokładnie już widzimy naszą przyszłą drogę na szczyt. Jedynie dojście do lodowca zboczowego, nazwanego później Ventisquero de los Polacos, nasuwa pewne wątpliwości. 15,00 zakładamy bazę (małe namioty podróżne) na wys. ok. 3980* m.

5 marca. **Baza — obóz I.** *Pogoda: dobra.*

8,00 muły przybywają z pastwiska, położonego niżej. — 10,00 wyruszamy w górę. Dasz. zakłada szlak po rozległych morenach; muły, nieaklimatyzowane, wznoszą się z trudem. — 13,00 osiągamy (ok. 4900 m) bardzo stromą, ruchomą morenę. Idziemy dalej pieszo, pędząc z wielkim trudem 2 muły juczne. Jeden z nich wychodzi na górne piętro, drugi zwala się w strumień płynący w lodzie i musi być odesłany wdół. Ekwipunek Dasz. i Oś. zamókł w tym wypadku. — 15,30 pierwszy muł dochodzi do lodowczyka (ok. 5200 m). — Dalej niesiemy ładunki sami (Dasz. i Oś. niosą wory od 4900 m). — Między 18,00 i 19,00 zakładamy obóz I. — Dwójka Dor.-Kar. pod «mnichem» na wys. ok. 5350 m; Dasz.-Oś. na ok. 5400 m; Nar.-Ost. na ok. 5450 m. Kar. podchodzi do krawędzi ostrogi (ok. 5450 m) i stwierdza, że dalszy szlak musi być założony o wiele bardziej na W, aby dostać się na równię lodowca.

6 marca. **Obóz I. — Obóz II.** *Pogoda: doskonała.*

10,30 dojście do siodełka za «mnichem» (ok. 5500 m). Oś. i Ost. ruszyli naprzód na wywiady dalszego szlaku. Właściwym okazuje się szlak prawy (W), którym poszedł Ost. — Dor.-Kar. pozostawili namiot i część rzeczy w obozie I, aby iść możliwie lekko i przez to posuwać się prędzej wgórę. — 11,30 wyruszenie z siodełka. 13,00 osiągnięcie «tarasu z głazami», gdzie czeka Ost. i w górnej części Oś. — Kar. dochodzi do niego i posuwa się za węgieł ostrogi skalnej, skąd widzi bliskie, łatwe przejście na lodowiec. — Stwierdza to Ost., wychodząc na krawędź równi lodowca (14,00). — W zatoce skalnej (ok. 5900 m) czekają Kar., Oś., Ost. na towarzyszów, którzy przybywają o godz. 15,00 i postanawiają założyć w zatoce skalnej obóz II. — Dor.-Kar. nocują w śpiworze, pod płachtą Zdarsky'ego.

7 marca. **Obóz II. — Obóz III. — Wypad Dor.-Kar.** *Pogoda: doskonała.*

1) Dwójka Dor.-Kar. wyrusza 7,00 bez żadnego obciążenia, z planem, który ułożyli jeszcze w bazie, osiągnięcia wierzchołka jednym długim wypadem. Zapowiadają powrót wieczór do obozu niezależnie od tego, czy wierzchołek osiągną. — 8,00 dochodzą do równi lodowca. W dobrem tempie uzyskują 6200 m, potem tempo zmniejsza się poniżej ustalonej normy. Przyczynia się do tego stromy śnieg, zmurszały nieraz, w którym szlakują. — 16,00 dochodzą do ok. 6550 m. i nie mając już nadziei dotarcia do szczytu tego dnia, zatrzymują się, aby zawiadomić towarzyszów o swej nowej decyzji zanocowania tutaj. 16,30 nie widząc reszty towarzyszów, zaczynają schodzić. Wkrótce słyszą głosy, które przez niezrozumienie Kar. bierze za wezwanie na pomoc. Przyspieszają zejście, przyczem Dor. ulega osłabnięciu. 17,00 dochodzą do obozu III towarzyszów (ok. 6350 m), gdzie nieporozumienie się wyjaśnia. O pozostaniu na wysokości niema już mowy, wobec czego schodzą powoli do obozu I (pod «mnichem»), gdzie nocują (21,00).

2) Dwójki Dasz.-Oś. i Nar.-Ost. wyruszają koło 9,00 i doszedłszy do środka trawersu lodowca zakładają obóz III na platformie w złomisku lodowem (16,00).

8 marca. **Aconcagua.** *Pogoda: doskonała.*

1) Dwójki Dasz.-Oś. i Nar.-Ost. wyruszają koło 10,00. — Mijają z trudem rozpękline w końcu trawersu lodowca (12,00). — Do grani szczytowej dochodzą, poprzez kilka szczelin i ścianek lodowych, koło 16, wierzchołek Aconcagua (7035 m) osiągają granią E o godz. 18,00. Pochód prowadził Oś. — przez śniegi szlakowali wszyscy na zmianę. Na wierzchołku wiał zimny wiatr. Zastali tam czekan z proporczykiem, zostawiony kilka godzin przedtem przez wyprawę włosko-argentyńską, która zwiedziła szczyt zwykłą drogą, od Dol. Horcones. Na wierzchołku pozostali koło godziny, fotografując i filmując. Zgodnie z tradycją, ustaloną na Aconcagua, Nar. wymienił czekan, znajdujący się na szczycie. — W drodze powrotnej ściemniło się, gdy doszli do miejsca, gdzie szlak opuszcza grań E. Dwójka Dasz.-Oś. postanowiła schodzić w ciemności, lecz najkrótszą drogą, wprost stromo wdół do obozu III. To zejście nocne wykonała szczęśliwie, dochodząc do namiotu koło 3,00 (dn. 9 marca). — Dwójka Nar.-Ost. postanowiła biwakować, mając tylko

pełny strój szturmowy na sobie. Spędzili noc niemal bezsenną, nie marznąc nadmiernie tylko dzięki zupełnej ciszy.

2) Dor.-Kar. schodzą do bazy. — Kar. podchodzi ok. 300 m zboczem Trabanta Aconcagua, aby obserwować uczestników wejścia na Aconcagua i wykonać zdjęcia fotograficzne.

9 marca. **Schodzenie z Aconcagua.** *Pogoda: doskonała.*

1) Dwójka Nar.-Ost. schodzi b. powoli, spowodu wyczerpania Nar., w ciągu dnia do obozu III (godz. 17,00). Po drodze, idąc szlakiem zejściowym poprzedników, Nar. odmraża palce rąk, tuż przed obozem traci poczucie równowagi i upada z bloku lodowego, na szczęście w miękki śnieg, który hamuje upadek.

ACONCAGUA OD WSCHODU
----- droga polska od pn.-wsch.

Wdg fotografij i szkicu z natury rys. J. K. Dorawski.



2) Dwójka Dasz.-Oś. czeka w obozie III do 16,00 na towarzyszów; widząc ich poniżej stromizny, schodzi ze swym ładunkiem pod stromą morenę (ok. 4900 m), gdzie nocuje.

3) Dor.-Kar. obserwują przez lornetę cały dzień ruchy dwójki (1) na lodowcu i dostrzegając niechybne oznaki wyczerpania, postanawiają nazajutrz wyruszyć z pomocą. Kar. naklania jednego z mulników, aby towarzyszył ekspedycji. Dor. postanawia iść wgórę mimo ogólnego przemęczenia.

10 marca. **Ekspedycja ratunkowa.** *Pogoda: doskonała.*

1) Dwójka Dasz.-Oś. zeszła do bazy (8,00 do 12,00).

2) Dwójka Nar.-Ost. likwiduje obóz III, schodzi b powoli na równię lodowca (ok. 6000 m); tam Nar. postanawia oczekiwać pomocy, prosząc Ost. o sprowadzenie jej. Nar. stawia namiot. Ost. schodzi i wkrótce (15,30) spotyka ekspedycję, dążącą wgórę. Opowiada o wydarzeniach ostatnich dni; schodzi wraz z mulnikiem pod stromą morenę, gdzie udaje się im jeszcze zatrzymać muły, odjeżdżające wdół i na nich wrócić do bazy.

3) Dor. i Kar. ruszają wgórę 7,50, jadąc spiesznie. Pod moreną muły z jednym mulnikiem pozostają, drugi mulnik, wyekwipowany należycie, idzie wgórę ze wspinaczami (10,00). Po spotkaniu z Ost. na ok. 5500 m, Kar pospiesza dalej; Dor. posuwa się wolno wgórę. Kar. dochodzi do równi lodowca (19,00) i spotyka Nar. leżącego w namiocie, z palcami w złym stanie i z objawami wstrząsu nerwowego. Po naradzie z Dor., który podszedł aż na wys. ok. 5900 m, pozostaje

z chorym na noc. Opatruje palce. Dor. nocuje na wys. ok. 5500 m przy pozostawionym ładunku.

11 marca. **Zejście do bazy.** *Pogoda: doskonała.*

Kar. z Nar. schodzą do Dor., który chorego bada (11,00); następnie schodzą wolno pod morenę, gdzie oczekują muły. Do bazy przybywają późno popołudniu.

12 marca. **Pierwszy dzień podróży w dół.** *Pogoda: średnia.*

1) Dasz.-Oś. wyruszają 9,00 na mułach pośpiesznie wdół. Wieczorem przybywają do Punta de las Vacas, skąd wysyłają depesze o zdobyciu Aconcagua od E, następnego dnia rano przybywają do Uspallata samochodem.

2) Reszta wspinaczy wyrusza z bazy po upakowaniu bagażu o godz. 15, przybywa na nocleg w Dol. de las Vacas o godz. 19,00. — Nar. czuje się cały dzień niedobrze.

13 marca. **Drugi dzień powrotu.** *Pogoda: b. dobra.*

Dor., Kar., Nar. i Ost. przebywają resztę Dol. de las Vacas (10·30 do 16·30) Z Punta de las Vacas do Uspallata jadą autem przysłanym dzięki towarzyszom 20,00 przybywają do hotelu. Tropa przybywa tam następnego dnia.

VIII. PODRÓŻ POWROTNA DO BUENOS AIRES I EPILOG

Dni 14 i 15 marca spędziła wyprawa w Uspallata. Wieczorem 15 marca była podejmowana uroczystym obiadem przez administratora dóbr Uspallata p. Ulryka Beeckmana, 16 marca wyjechała samochodami do Mendoza, skąd następnego dnia do Buenos Aires (przyjazd 18 marca). Tam nastąpiło rozwiązanie wyprawy, której uczestnicy w 3 grupach przybyli do Polski w ciągu maja 1934 r.

*

Oddźwięk, jaki znalazła wyprawa andyjska w świecie i jej znaczenie propagandowe, można ocenić z następujących danych (niewyczerpujących zresztą całości):

A) PRASA (ważniejsze artykuły):

Polska: 1) *Gazeta Polska* (korespondencje), 2) *Tygodnik Ilustrowany* (art.), 3) *Tribune des Jeunes* (art.).

Zagranica: I) Argentyna: 1) *Revista Mensuel del T. C. Argentino* (szereg art.), 2) *La Prensa* (dodatki ilustrowane), 3) *La Nacion* (dodatki ilustrowane), 4) *El Mundo Argentino* (art.), 5) Około 200 wzmianek w pismach codziennych.

II) Uruguay: *El Dia* (dodatek ilustrowany).

III) Anglja: 1) *The Geographical Journal* (art.), 2) *The Times* (art.), 3) *The News Chronicle* (dod. ilustr.).

B. ODCZYTY:

Polska: Warszawa 6, Katowice 2, Lwów, Krynica, Sosnowiec, Łódź i Kraków po 1.

Argentyna: Buenos Aires 2 (jeden polski, jeden hiszpański).

Zestawienie wyników wyprawy wykazuje zwiedzonych szczytów powyżej 4 tys. m: 3; powyżej 5 tys. m: 3; powyżej 6 tys. m: 5; i powyżej 7 tys. m: 1. Wykonano w Ramadzie szkic topograficzny obszaru ok. 1200 km². Pełnych obserwacyj meteorologicznych wykonano 112, pomiarów hypsometrycznych 28, zdjęć fotograficznych ok. 2000, wyświetlonej taśmy filmowej ok. 3500 m. Prócz tego dokonano badań fizjologicznych i pobrano próbki geo- i petrologiczne. Podział funkcyj podczas wyprawy był następujący: skarb: Dorawski; żywność: Dorawski i Narkiewicz; ekwipunek: Karpiński; nadzór nad kuchnią: Ostrowski; kronika: Karpiński; opieka lekarska: Dorawski; fotografja: Ostrowski; filmy: Osiecki i Daszyński. Badania naukowe prowadzili: fizjologiczne: Dorawski; meteorologiczne: Karpiński; geologiczne: Daszyński. Korespondencje prasowe pisał głównie Narkiewicz.

TEREN DZIAŁANIA I WYNIKI EKSPLORACJI

Kolosalnej rozpiętości pasmo Andów południowo-amerykańskich *(Cordillera de los Andes)* nie może oczywiście posiadać na całej swej przestrzeni jednakowej budowy i jednakowego wyglądu. Inne są okolice wulkanicznych gór równikowych — inne wspaniale zalodzone peruwjańskie i boliwijskie pasma Królewskie i Białe — inne pustynne i bezśnieżne wyżyny Atacamy — odrębne patagońskie strome, dzikie i znów pokryte lodem — jeszcze inne góry centralnej Argentyny:

masywy Totoras, Ansilta, Ramada, Aconcagua, Juncal i Tupungato. Między grupą Aconcagua a Juncal znajduje się przełęcz Uspallata i walna dolina Rio Mendoza. Stanowią one najłatwiejsze przejście przez łańcuch Andów na całej ich przestrzeni[1]). Na pd. od nich tworzą Andy jeden główny łańcuch — międzyoceaniczny dział wód i granicę państwową chilijsko-argentyńską zarazem. Ku północy Andy rozdzielają się na długość około 200 km na trzy mniej więcej równoległe łańcuchy, biegnące południkowo. Łańcuch zachodni (t. zw. Cordillera de la Frontera), jest mniej więcej jednolity, najniższy, niewiele przekraczający 5000 m. Mimo to jest on głównym działem wód i granicą państwową. Łańcuch środkowy jest najwyższy i podzielony na kilka grup górskich przez poprzeczne przełomy rzek spływających ku wschodowi. Zaczyna się w kulminacyjnym punkcie Ameryki — Aconcagua, która wraz z graniczącą tuż od pn. grupą Volcan tworzy jedną całość. Oddzielone od niej doliną rzek Mercedario i los Patos, rozpościera się dalej ku pn. gniazdo Ramada z mniejszą «przybudówką» — Invernados del Donoso. Znów przełom Rio Blanco, a na pn. odeń Cordillera Totoras. Łańcuch zachodni, znacznie niższy od środkowego, ma jedną tylko przerwę, gdyż Rio Blanco łączy się z Rio de los Patos w jeden strumień. Południowe pasmo nosi nazwę Cord. del Tigre, a północne Cord. Ansilta. Spośród wszystkich tych gór znaną była dość dobrze tylko Aconcagua (por. «Taternik», XVIII, 92—94) i jej najbliższe otoczenie. Wszystkie inne oglądane były tylko z dna walnych dolin (podróże niemieckich geologów Fr. Kühna i W. Schillera), gdyż nikt się wgłąb gór tych nie zapuszczał[2]). Mimo to dość dziwnym wydaje się fakt tak gruntownego braku wiedzy o nich, że mogła się rozpowszechnić opinja, iż na północ od Aconcagua niema już większych lodowców.

W zwiedzonych przez naszą wyprawę grupach Andów dadzą się pod względem krajobrazu wyodrębnić trzy strefy — strefa podgórska, strefa hal w wielkich dolinach i strefa wysokogórska. Pierwsza z nich silnie sfalowana wzgórzami o łagodnych kształtach jest kamienistą pustynią, w której poza korytami niewielu rzek z gór płynących absolutnie niema wody. Jest to następstwem bardzo skąpych opadów atmosferycznych. Odpowiednio do tego okolice te są pozbawione roślinności za wyjątkiem kilku gatunków suchorostów. Krajobraz strefy jest ponury — widok na wysokie góry zasłonięty. Strefa podgórska wzniesiona jest od 1500—2500 m n. p. m. Ludność — nader rzadką zresztą — znaleźć można tylko w osadach nad brzegami rzek, w odosobnionych «ranchos» i «haciendas».

Strefa hal sięga od 2500 m do 3700 m wzgl. nawet wyżej. Znacznie obfitsze opady umożliwiają tu wegetację traw i roślin. Oczywiście, że hale te nie są zbyt wielkie i obfite. Jednolite kobierce trawników znajdują się tylko na dnie dolin, wśród płaskich rozlewisk wód potoku. Na zboczach rosną trawy kępami wśród piargu i rumowia skalnego. Ogromne rozmiary tych dolin i zboczy dają jednak pożywienie wcale licznym trzodom bydła rogatego i owiec oraz stadom koni i mułów, wypędzanych tu na czas letni i nieraz pozostawianych bez dozoru. Koleby pasterskie są nieliczne. W głębi dolin otwierają się widoki na wysokie, zalodzone kotły górskie. Na pierwszym planie widnieją kolosalne piarżyste bałuchy, fantastycznie barwne. Koloryt ten nadaje piętno całemu krajobrazowi.

Strefa wysokogórska, to kraina skały i lodu — powyżej 4000 m pozbawiona jakiejkolwiek wegetacji. Lodowce schodzą swemi wysięgami do 3900 m. Tworzą one wielkie rezerwoary wody dla dużych rzek, które tylko dzięki nim istnieją

---

[1]) Tędy też przechodzi linja kolei «Buenos Aires al Pacifico».

[2]) Wyjątek stanowiła tutaj (por. «Taternik», XVIII, 52) próba Fr. Kühna (w marcu 1911 r.) wejścia na La Mesa od pd. zakończona na wysok. ok. 5000 m — oraz atak S. Krückela i A. Maassa na Mercedario od pn.-zach., którzy dotarli niewiele wyżej (ok. 5600 m dnia 8 stycznia 1933 r.). Oba przedsięwzięcia niewystarczająco przygotowane i zgóry skazane na niepowodzenie.

i umożliwiają wegetację w dalekich nizinach, pozbawionych deszczów. Opady atmosferyczne w tej strefie, to nawet w lecie, śnieg. Scenerja wysokich kotłów Ramady posiada pełną grozę i majestat gór lodowcowych.

Wyprawa polska była pierwsza, która rozszerzyła znajomość pasm górskich na pn. od Aconcagua. Aczkolwiek bowiem zwiedziliśmy — poza znaną już Aconcagua — jedną tylko Ramadę, to jednak — dzięki centralnemu położeniu tego pasma, jak również okrężnej podróży — widzieliśmy zbliska także inne masywy, zupełnie analogicznie ukształtowane. Krótkie zestawienie wyników geograficznych naszej eksploracji, najlepiej pozwoli się zorjentować w przedmiocie.

1) Poznano gruntownie grupę Cordillera de la Ramada, jej szczyty, doliny i rzeki. Wykonano szereg pomiarów wysokości.

2) W szczególności stwierdzono, że Mercedario jest integralną częścią tej grupy górskiej, połączoną z nią nieprzerwaną, wysoką i niedostępną granią.

3) Dalej: odkryto nowy człon w szeregu szczytów Ramady — nienazwany «Cerro N», zbliżony wysokością do 6000 m.

4) Stwierdzono istnienie wielkich lodowców, tak w grupie Ramady, gdzie dochodzą one do 10 km długości (Ventisquero Grande), jak też w Cordillera del Tigre, Ansilta i Totoras. Jest rzeczą charakterystyczną, że wszystkie one spływają ku wschodowi, co tłumaczy się stale panującemi wiatrami zachodniemi, przerzucającemi masy śniegu na wsch. stronę łańcuchów.

5) Stwierdzono istnienie w Cordillera Ansilta i Totoras wzniesień niewątpliwie wyższych, niż oznaczone na mapie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa niektóre szczyty przewyższają tam 6000 m.

6) Odkryto nieznane kartografji argentyńskiej jezioro — Laguna Blanca.

7) Rezultatem tej eksploracji jest szkic topograficzny.

Jan K. Dorawski

DOŚWIADCZENIA GÓRSKIE Z ANDÓW

Doświadczeń polskiej wyprawy andyjskiej nie można oczywiście rozciągać na całą dziedzinę «andynizmu». Zbyt mało bowiem zwiedziliśmy różnych masywów górskich i zbyt krótki czas przebywaliśmy w górach.

Jednak garść różnych spostrzeżeń i uwag, z zastrzeżeniem co do względnej ich ważności, może się okazać pożyteczną przyszłym wyprawom w Andy.

Andy różnią się od Tatr i Alp zarówno skałą jak i formą utworów orograficznych. Można jednak postawić twierdzenie, że wspinacz, posiadający doświadczenie taternickie i alpinistyczne, będzie odrazu czuł się w Andach, jak w domu.

Przejdę w krótkiem zestawieniu szereg najważniejszych czynników życia górskiego, z któremi mieliśmy do czynienia w ciągu wyprawy.

I. POGODA.

Wschodnie (argentyńskie) zbocza Andów mają klimat suchy. Wiatry od Pacyfiku pozbywają się przeważnej części swej wilgoci na zachodniej (chilijskiej) stronie głównego łańcucha.

Deszcz pada wyjątkowo i z reguły przechodzi w krupy lub śnieg, który jest normalną formą opadu powyżej 3000 m. Słoty — w znaczeniu tatrzańskiem — nie zdarzyły nam się ani razu. Zaburzenia lokalne (najczęstsze) trwają po kilka godzin. Zaburzenia natury cyklonicznej, przy wielkiej ruchomości Wyżów i Niżów na kontynencie Pd. Ameryki, mijają najczęściej już po 2 dniach [1]).

[1]) Swoją drogą lato 1933/34 było — według argentyńskiego Instytutu Meteorologicznego — wyjątkowo pogodne, więc tych uwag o pogodzie nie można traktować jako stale ważnych prawideł.

Śniegopady (letnie) nie są obfite. Raz tylko zdarzył się (w dniach 2 i 3 lutego 1934) opad, po którym widzieliśmy ślady lawin na bardzo stromych zboczach lodowych Cerro «N». Lawiniastość ta trwała zresztą krótko (1 dzień). Silna insolacja wraz z wielkiemi różnicami temperatury między dniem i nocą prowadzi wkrótce do przekrystalizowania, a więc ustalenia pokrywy śnieżnej. Lawin śnieżnych nie słyszeliśmy nigdy.

Głównym czynnikiem pogodowym, regulującym działalność wysokogórską jest wiatr. Wieje on czasem z wielką uporczywością i znacznem nasileniem. Stały kierunek tych wielkich prądów powietrznych jest z W (i SW). Wielki wicher, który przeżyliśmy w basenie Colorado (3670 m), wiał bez przerwy od 4 do 7 lutego 1934 r., przyczem podmuchy (mierzone w dolinie!) dochodziły do 27 m/s. W górze, na zboczach szczytowych Mercedario i Cerro Negro, wiał wtedy t. zw. «viento blanco» — huragan niosący chmurę śniegu porwanego z podłoża (włoska «tormenta» — lecz w skali bez porównania większej, niż spotykałem kiedykolwiek w Alpach).

Nie można twierdzić, że taki wiatr uniemożliwia całkowicie pochód. W terenie łatwym można się posuwać naprzód — byle w odpowiednim ekwipunku. Partje szczytowe Cerro Ramada (ok. 6300 m) przebyłem w wichrze, który oceniłem (przez porównanie z szybkościami mierzonemi) na ok. 40 m/s. Kończyłem pochód w obłoku kryształków lodowych i przy temperaturze —15° C. Było to możliwe tylko dlatego, że szlak był mi znany z opowiadań poprzednika, dr. Narkiewicza, i teren zupełnie łatwy.

Wiatr w górach nie jest ciągły. Zdarzają się dłuższe, kilkudniowe okresy ciszy lub zmiennych powiewów. W okresie od 29. XII. 1933 do 18. II. mieliśmy: ciszy lub słabego wiatru 22 dni; średniego wiatru 21 dni; wielkiego wiatru 9 dni.

Silny wiatr wieje, o ile mogłem sprawdzić pomiarami, przeważnie okresowo przychodzącemi podmuchami. Można tę okoliczność wykorzystywać podczas pochodu, synchronizując okresy paroksyzmów wichru z odpoczynkami.

Wiatr wschodni wieje bardziej jednostajnie. Potrafi być przykry (zwłaszcza na graniach), jednak nie jest długotrwały.

Charakterystycznym rysem pogody były niemal codzienne popołudniowe burze zlokalizowane na wielkich masywach szczytowych (Mercedario, Cerro Ramada), w okresie od 18 stycznia do 2 lutego 1934 r.

II. «PODEJŚCIA» NA MUŁACH

Atakowanie Cerro Ramada przekonało nas, że można na mułach wydostać się na dość znaczną wysokość. Trzykrotnie muły weszły na 5500—5750 m; a raz (inż. Daszyński z baqueano Ignazio Flores) na wys. ok. 5900 m.

Charakterystyczną cechą jest to, że muł na tych znacznych wysokościach stara się iść, nie wznosząc się w górę. Jeśli go nie pilnować, natychmiast zaczyna poruszać się po zboczu idealną izohypsą. Podchodząc, zwierzę dyszy ciężko i często przystaje dla odpoczynku.

Muł umie pokonywać bardzo strome spadki, upłazy skalne, pola maliniaków, ruchomy gruz morenowy, nie lęka się ekspozycji, przekracza roztropnie rwące strumienie o nierównem dnie z głazów.

Opanowuje go tylko trwoga przed grzęźnięciem: dlatego nie chce iść po mlakach i po trzęsawiskach, pozostających niekiedy po wytajałym śniegu.

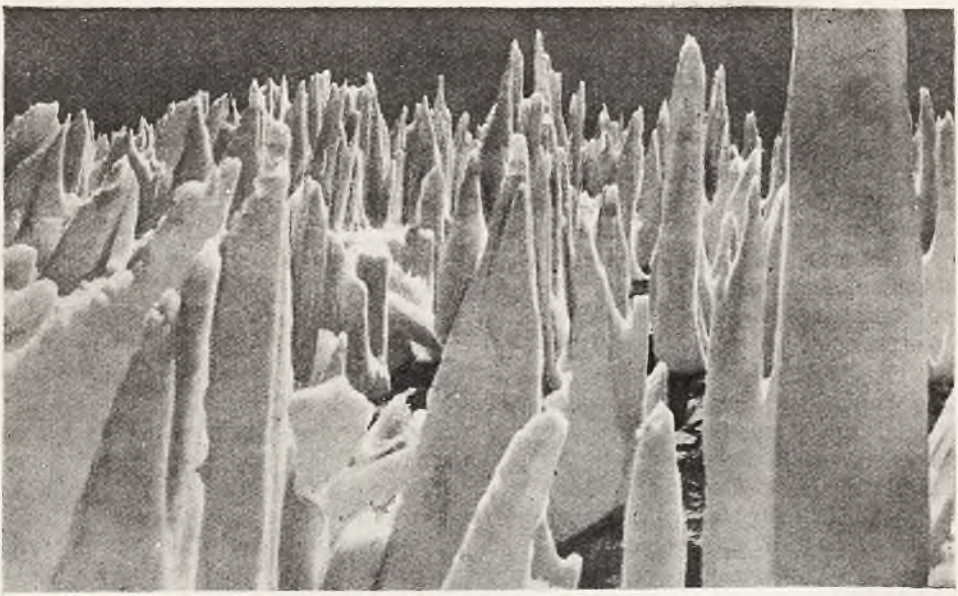
Jeżeli jeździec nie ma pewności co do wyboru szlaku przy mijaniu przeszkody terenowej — najlepiej jest zostawić mułowi wolny wybór: odznacza się on bowiem doskonałym instynktem szlaku.

Idzie nieomylnie po śladzie, którego człowiek nie dostrzega. Jeszcze jedną zaletą muła jest jego «samowystarczalność» w górach: żadnej żywności dla niego



Fot. J. K. Dorawski

CERRO NEGRO Z VENTISQUERO NORTE



Fot. W. Ostrowski

MNISZKI ANDYJSKIE

Pochód polem mniszków, jeśli nie ma być bardzo męczący, wymaga swoistej taktyki. Po wielu próbach wybrałem następującą metodę:

1) O ile się tylko da — iść uliczką między mniszkami. Wielkie ułatwienie stanowią raki.

2) Przy przechodzeniu wpoprzek tafel, zwalać mniszki najlepiej uderzeniem pięści (prostym ciosem bokserskim). Miejsce uderzenia trzeba wybrać nie za nisko, gdyż wtedy cios ze względu na grubość tafli może zostać bez skutku. Odłamanie tafli zbyt wysoko nie daje znów dostatecznie pewnego chwytu i powoduje niepotrzebnie wysokie dźwiganie ciała.

3) Przy schodzeniu można nieraz z korzyścią używać dwóch tafli jako poręczy.

Uwagi: 1) W pochodzie przez mniszki nie nosić rzeczy zatkniętych za klapę worka: mniszki mogą je stamtąd wyciągnąć. W ten sposób utraciliśmy jedną płachtę Zdarsky'ego.

2) Rękawice, które wciąż mokną od wspinaczki śnieżnej, mieć zapasowe i suszyć na zmianę na słońcu. Schną one bardzo prędko przy wielkiej suchości powietrza.

VI. LODOWCE

Lodowce andeńskie różnią się tem od alpejskich, że nie posiadają skomplikowanych szczelinisk z zakrytemi szczelinami i niepewnemi mostami śnieżnemi. Zato środkowy i dolny bieg lodowców (np. wszystkie lodowce Ramady) nie nadaje się przeważnie wcale do przejścia, tak jest potrzaskany, połupany, zapchany doszczętnie serakami (niektóre z nich sięgają wysokości 30 m). Wysokie równie, lodowce tarasowe i zboczowe mają zazwyczaj mało szczelin. Bezpieczne mosty można znaleźć o wiele łatwiej niż w Alpach ze względu na szybką i dobrą konsolidację śniegu. Obecność szczelin zdradza się na pierwszy rzut oka (znowu zawdzięczając szybkiemu osiadaniu śniegu). Zapadnięcie się wspinacza do szczeliny zdarzyło się nam 2 razy (z tego raz w nocy).

Śnieg lodowcowy występuje we wszelkich formach znanych z Alp, a więc firn zmurszały (częsta postać spowodu wielkiej insolacji), zdrowy, doskonały do

marszu firn, puchowy śnieg (tuż po śniegopadzie i na stokach pd., zacienionych) i gips, dobrze ubity przez wiatr. Silne wichry zachodnie powodują też odsłanianie w wielu miejscach czystego lodu.

Czoła lodowców Ramady schodzą do ok. 4000 m (najniższy zaobserwowany kończy się na ok. 3850 m).

Z przytoczonej charakterystyki lodowców wynika, że wyruszanie przed świtem, aby przebyć szczeliniska jeszcze po szreni, nie jest konieczne.

Pochód po lodowcu odbywa się normalnie; może bardziej niż w Alpach podlega wspinacz «znużeniu lodowcowemu» (Gletschermüdigkeit) — spowodu większej wysokości i silnej operacji słonecznej.

Lawiny lodowe, odrywające się od złomisk lodowców zboczowych (np. lod. S Mercedario, lod. NE Aconcagua) bywają potężne. Jedna zwłaszcza, którą tylko słyszeliśmy w nocy, grzmiała przez kilkanaście sekund na lodowcu S Mercedario (różnica poziomów ok. 2000 m).

VII. ZAKŁADANIE OBOZÓW

W dolinach można zawsze (do wysokości ok. 3600 m.) znaleźć obozowisko z pękami suchej, ostrej trawy, którą muły chętnie się żywią.

Należy stanowczo odradzić zabierania z sobą jako bazy operacyjnej dużych i wysokich namiotów. Wicher wcześniej czy później doprowadzi do uszkodzeń, a ciągłe poprawianie takiego dużego mieszkania zabiera zbyt dużo czasu i energji.

W wielu miejscach można znaleźć dobre koleby, które nie muszą być «nieprzemakalne» — jak nasze tatrzańskie, ze względu na brak deszczu. Obozowanie w nich na wys. ok. 3650 m nawet przez dłuższy czas i w niepogodę jest, jak przekonaliśmy się, zupełnie możliwe.

Na wysokie obozy nadają się szczególnie namioty z podwójnemi ścianami i z wytrzymałem olinowaniem. Pozatem kształt powinien dawać jaknajmniejszy opór powietrza.

Piarg daje dobre podłoże dla namiotu. Niestety, na większych wysokościach zdarza się, że przy równaniu platformy natrafia się na twardy lód pod cienką warstwą szutru. Wtedy najprędzej prowadzi do celu zgarnianie kamyków z góry (nawet z odległości kilku metrów) i tworzenie platformy nasypowej.

Ważną rzeczą jest założenie obozu tuż obok śniegu lub przyniesienie większej jego ilości przed wejście, gdyż po całodziennym pochodzie w suchej atmosferze i niskiem ciśnieniu wieczór czują wspinacze wielkie pragnienie.

Problemem snu na większych wysokościach zajmuje się w swej pracy dr. Dorawski.

Ciekawego i ze wszech miar ważnego doświadczenia dostarczyli nam dr. Narkiewicz i Ostrowski, biwakując bez żadnego ekwipunku obozowego na grani E Aconcagua, na wys. ok. 6800 m. Byli oni ubrani w pełny strój szturmowy. Noc była mroźna, pogodna, na szczęście bezwietrzna. Nie uskarżali się na ziąb, mogli nawet nieco spać.

VIII. POCHÓD NA WIĘKSZEJ WYSOKOŚCI (> 6000 m)

Sprawy związane z tem zagadnieniem omawia dr. Dorawski. Mnie nasuwają się osobno tylko trzy uwagi:

1) Zmęczenie wysokościowe odzywa się u niektórych wspinaczy dopiero przy zaczęciu schodzenia (osłabienie lub wymioty); dzieje się to zapewne przez brak podniety psychicznej, działającej podczas wchodzenia. Należy to mieć na uwadze przy pierwszych wyprawach na wysokość, póki reakcje organizmu nie są jeszcze znane.

2) Przy wielkich wyprawach szczytowych powinno być zasadą zakładanie obozu wypadowego jaknajwyżej, nawet za cenę żmudnego dźwi-

gania ładunku. Nigdy nie można być pewnym, czy zostanie dotrzymane założone tempo pochodu, a opóźnienie może zadecydować o nieosiągnięciu szczytu.

3) Poza aklimatyzacją i środkami krzepiącemi istnieje najważniejszy może czynnik powodzenia: jest nim silna, tak silna, że ostoi się nawet niwelującemu wpływowi wysokości: wola zwycięstwa. ADAM KARPIŃSKI

DOŚWIADCZENIA FIZJOLOGICZNE

PROBLEM AKLIMATYZACJI

Organizm ludzki, przeniesiony na duże wysokości, musi ulec pewnym zmianom, ażeby mógł normalnie funkcjonować w spoczynku i — zwłaszcza! — podołać pracy fizycznej. Musi przystosować się do odmiennych warunków — niskiego ciśnienia i braku tlenu. Na proces ten — zwany aklimatyzacją — potrzeba pewnego czasu. Wiadomo, że aeronauta, który b. szybko przedostaje się w górne rejony ulega nader gwałtownym objawom choroby górskiej (do utraty przytomności włącznie) i musi się przed niemi ratować wdechaniem tlenu już poniżej 4000 metrów. Natomiast turysta, który podnosi się wgórę nieporównanie powolniej, albo doznaje choroby górskiej tylko w znacznie mniejszym stopniu, albo nie doznaje jej wcale, albo wreszcie daje mu się ona we znaki dopiero na znacznie większych wzniesieniach. Dzieje się to pomimo tego, że turysta okupuje swe wzniesienie się ciężkim trudem fizycznym, podczas gdy lotnik nie pracuje fizycznie wcale. Jedyną zatem przyczyną tej różnicy w zachowaniu się ich organizmów jest to, że organizm lotnika nie ma czasu na aklimatyzację, podczas gdy organizm turysty może się zwolna przystosowywać. W rezultacie dochodzi do pełnej aklimatyzacji, t. zn. do zupełnie normalnego zachowania się funkcyj takich, jak tętno, ciśnienie krwi, apetyt, sen, zdolność do pracy fizycznej, sprawność umysłowa. Oczywiście zdolność aklimatyzacji uwarunkowana jest wzniesieniem nad p. m., w tym sensie, że łatwiej i szybciej następuje np. w wysokości 4000 m, niż 6000 m. Ostatnie wyprawy himalajskie stwierdziły możność zaaklimatyzowania się człowieka nawet w wysokościach ponad 7000 m — inna rzecz, że tylko na krótki okres czasu.

MECHANIZM AKLIMATYZACJI

jest zapewne dość złożony i dotąd jeszcze niewystarczająco zbadany. Wiadomo, że decydującym czynnikiem szkodliwym jest brak tlenu, potęgujący się w miarę wznoszenia. Wywołuje on zaburzenia w wymianie gazów w organizmie, t. zw. oddechaniu wewnętrznem. Ponieważ pośrednikiem w wymianie gazowej jest hemoglobina krwi, organizm przystosowuje się w ten sposób, że zwiększa ilość hemoglobiny, przez znaczne pomnożenie czerwonych ciałek krwi. Równocześnie zachodzą przemiany w narządzie krążenia, które sprawiają, że początkowo rosnąca częstość tętna oraz ciśnienie krwi zostają sprowadzone do normy, a nawet czasem obniżone. Serce ulega przerostowi dla podołania wzmożonej pracy. Te przemiany są ściśle analogiczne do przemian zachodzących pod wpływem treningu, a ponieważ równocześnie z aklimatyzacją górską turysta usilnie trenuje, trudno rozdzielić, czemu głównie należy je przypisać. Trzecia wreszcie grupa przemian dotyczy objawów ogólnych, jak łaknienie i sen. I znów początkowe obniżenie łaknienia i bezsenność ustępują stanowi normalnemu. Z chwilą unormowania tych wszystkich funkcyj człowiek odzyskuje pełną zdolność do pracy umysłowej i fizycznej.

PRZEBIEG AKLIMATYZACJI W CIĄGU WYPRAWY

przedstawi przytoczenie ścisłych dat. Wyruszywszy z wysokości ok. 1500 m (Tamberias) znaleźliśmy się po czterech dniach na wysok. 2990 m (obóz w Dol. Pichireguas), a po dalszych 4 dniach na 4420 m (baza pod Mercedario). Przez 18 dni nie schodzono poniżej tej linji, przyczem 4 dni spędzono na wysokości ponad 5130 m.



Fot. J. K. Dorawski

ACONCAGUA Z DOLINY RELINCHOS



Fot. J. K. Dorawski

WIDOK Z PN.-WSCH. STOKÓW ACONCAGUA KU PÓŁNOCY

Następnie obniżono się o kilkaset metrów i 24 dni baza była na wysokości 3630 m (w Dol. Arroyo Blanco) wzgl. 3670 m (w Dol. Colorado). W tym czasie szereg wypadów po 2—3 dni w wysokości znacznie ponad 5000 m. Po 2-tygodniowej przerwie (przeniesienia się pod Aconcagua) spędzono 7 dni ponad 4000 m, w tem 3—4 dni ponad 5500 m.

WYNIKI AKLIMATYZACJI

były zadowalające. Jak widać z przytoczonych dat, przyzwyczajanie następowało powoli. Zasadniczym poziomem aklimatyzacji była strefa stosunkowo niska między 4420 a 3670 m. W tej strefie nietylko nie było nigdy nawet śladów choroby górskiej, ale była aklimatyzacja zupełna u wszystkich uczestników wyprawy.

Objawy pewnych niedomagań dawały się zauważyć tylko przy wypadach w górę. Należy tu zanotować pojawiające się kilkakrotnie u jednego z uczestników silne, napadowe bóle głowy począwszy od 5000 m, które występowały jednak tylko w początkowym okresie wyprawy. Dalej wystąpiły u dwóch uczestników sporadycznie wymioty na wysok. 6000 m. Na tem jednak wyczerpują się przypadki objawów chorobowych. Oczywiście nie zaliczam do nich mniej lub więcej silnego wyczerpania fizycznego, jakie zaznaczyło się w czasie powrotu z Aconcagua. Było ono bowiem następstwem rzeczywiście ogromnego wydatku sił.

Natomiast pełna aklimatyzacja, jak to zresztą wynika z powiedzianego powyżej, nie sięgała do samych szczytów andyjskich. Obserwacje, poczynione przez nas, wskazują na to, że aklimatyzacja uzyskana na poziomie 3700—4400 m wystarczała mniej więcej jeszcze na 1000 m wyżej. Powyżej tej linji (a więc ponad 5400—5500 m) występowały już dowody jej braku:

1° przedewszystkiem zmniejszona zdolność pracy, objawiająca się silnem zwolnieniem tempa marszu. Ponad 6000 m pokonywano przeciętnie tylko 100 m wzniesienia na godzinę, co jest b. mało, gdy się porówna to z wynikami himalajskiemi — 150 m/godz. ponad 7000 m! Wyższa strefa aklimatyzacji turystów himalajskich robiła swoje Marsz na wys. ok. 6000 m wyglądał w sposób następujący: co 10—20 kroków, b. wolnych: kilkunasto sekundowy odpoczynek, na stojąco, z górną połową ciała wspartą na czekanie wbitym w śnieg wzgl. piarg — głębokie, nasilone oddechy — co 20 minut: 5 lub nawet 10 minut odpoczynku siedzącego. W tem wolnem tempie nie odczuwało się żadnych dolegliwości — przy przyspieszonem tempie występowało kołatanie serca i uczucie duszności. Analogicznie do tempa marszu i każda inna praca musiała być wykonywana w zwolnionem tempie — tak kopanie śniegu, rozpinanie namiotu, ubieranie się.

2° brak apetytu dawał się silnie we znaki, choć nie wszystkim w równym stopniu. W każdym razie nie zużywano nawet znacznie okrojonych racyj żywnościowych i można przytoczyć wypadki nie jedzenia przez 24 godziny.

3° bezsenność nie była jakimś objawem regularnym. Jakkolwiek naogół w obozach wysokich spano gorzej niż głównym, to trzeba tu uwzględnić wpływ mniejszej wygody oraz podniecenia psychicznego. W okresie ataku na Aconcagua sen w obozie 5900 m był prawie u wszystkich lepszy jak w obozie 5450 m. Również na najwyższym obozie całej wyprawy — 6350 m — spano całkiem znośnie. Niemniej jednak zdarzały się dość często noce spędzone zupełnie bezsennie. W czasie snu ponad 5500 m występował niekiedy oddech Cheyne-Stokes'a.

Sprawność władz umysłowych była zadowalająca. Oczywiście trudno niezmiernie fakt ten ocenić i nie da się to zrobić bezpośrednio. Do takiego zdania skłaniają jednak pośrednie obserwacje. Dość skomplikowane operowanie aparatami foto- i kinematograficznemi, jak również wykonywanie zdjęć topograficznych można było ex post uznać za wykonane bez zarzutu. Przytoczyć można też fakt, że jeden z uczestników napisawszy feljeton do gazety w namiocie na wys. 5750 m — mógł go potem wysłać bez żadnych poprawek.

W zakresie psychicznym nie zauważono żadnych zaburzeń. Nieznaczne osłabienie woli utrudniało tylko decyzję w sprawach drobnych, jak gotowanie, wstawanie etc., nie dotyczyło nigdy celu wyprawy.

Nakoniec wspomnieć wypada, że obserwacje nasze nie potwierdzają podań niektórych podróżników, jakoby w Andach panowała specjalna, nigdzie pozatem niespotykana choroba — «puna». To, że tubylcy ją personifikują, że twierdzą iż na jednej górze jest «dużo puny» *(mucha puna)*, gdzieindziej znowu mniej, że próbują chronić się przed nią wąchaniem ziemi lub piciem jakichś ziół, — nie zmieni zasadniczego faktu, że puna jest zwykłą chorobą górską, a przyczyną jej, wysiłek fizyczny w rozrzedzonem powietrzu.

BADANIA FIZJOLOGICZNE

prowadzone w czasie wyprawy miały na celu stwierdzenie zmian, jakie zachodziły w ilości hemoglobiny i ciałek czerwonych w krwi, częstości tętna, ciśnieniu krwi, a wreszcie w obrazie ciałek białych. Odkładając do innej pory i miejsca podanie ścisłych danych, zaznaczę tylko, że obserwacje potwierdziły to, co powiedziano wyżej o mechanizmie aklimatyzacji. W szczególności odnosi się to do pomnożenia ciałek czerwonych w krwi. Podam dla przykładu ilości ciałek czerwonych przed wyjazdem z Buenos Aires oraz maksymalne w czasie pobytu w górach:

1. 4035	tysięcy	w	1	mm³	— 5670	tys.
2. 4940	»	»	»	»	— 6410	»
3. 5060	»	»	»	»	— 6100	»
4. 5280	»	»	»	»	— 6100	»
5. 4100	»	»	»	»	— 5480	»
6. 4320	»	»	»	»	— 5320	»

Wyniki badania obrazu ciałek białych są niestety niedość przekonywujące, gdyż oparte na zbyt małym materjale. Jak wiadomo, cały materjał wymazów krwi, zebranych w okresie Mercedaria i Ramady, przepadł z rozbitą skrzynią na dnie Rio Colorado. W czasie krótkiego pobytu pod Aconcagua oczywiście niewiele tylko udało się uzupełnić.

Należy tu podkreślić dwie okoliczności — niezwykłą ofiarność firm B. Drobner w Krakowie i C. Reichert w Wiedniu, które zupełnie bezinteresownie zaopatrzyły wyprawę w kosztowny sprzęt do badań fizjologicznych — oraz wielkie samozaparcie się mych towarzyszów, którzy w każdej chwili bez szemrania oddawali mi do dyspozycji swoją krew, prawda że w ilości kilku kropel, ale których pobranie w danych okolicznościach połączone było z wielką przykrością i niewygodą.

Dr. Jan K. Dorawski

EKWIPUNEK WYPRAWY

Kiedy z wiosną zeszłego roku zabrałem się do ekwipowania wyprawy w Andy, posiadałem już dość dużo szkiców sprzętu górskiego na wielkie wysokości — z dawnych jeszcze czasów. Musiałem je przejrzeć, zmodyfikować, jak tego wymagało nabyte w międzyczasie doświadczenie, zaprojektować to, czego jeszcze nie było — i przygotować do realizacji, która w wielu wypadkach musiała iść po całkiem nieudeptanych ścieżkach.

Po raz pierwszy miały być naprzykład wykonywane rakobuty, namioty jedwabne, hełmy górskie z maskami. Widziałem je dotychczas tylko na swoich rysunkach, a od nich do gotowego przedmiotu jest zawsze długa droga... Toteż zastanawiałem się często: czy nasze wytwórnie dadzą sobie na czas radę z fabrykacją, czy można ruszać z ekwipunkiem, który nie przeszedł jeszcze prób w terenie i to zaraz na zdobywanie szczytów, mających koło 7000 m. Czy więc nie lepiej zaniechać nowości, a wziąć tylko sprzęt znany oddawna w alpinizmie.

Wiedziałem jednak dobrze o wadach klasycznego ekwipunku. Niektóre poznalem dosłownie na własnej skórze: przez uciśnięcie stóp rzemieniami raków uległem raz dotkliwym odmrożeniom, na niewielkiej nawet wysokości. Cóżby było 5000 m wyżej, gdzie o marznięcie o wiele łatwiej spowodu gorszych warunków spalania w organizmie.

Śpiwory, które można było w sklepach dostać — wszystkie były dla naszych celów za mało «ciepłe» lub za ciężkie. Namioty kupne — nie miały podwójnych ścian i — jeszcze były za ciężkie. Postanowienie wyposażenia wyprawy w ekwipunek oryginalny wzięło górę. Pewno przyczyniło się do tego stare wspomnienie odmrożonych palców.

*

Wiedziałem z literatury, że w Andach potrafi być znakomicie zimno i wietrzno. Wiadomem było także, że na wielkich wysokościach już własne nogi ciążą w pochodzie, a cóż dopiero okrycia i sprzęt niesiony na plecach.

A więc wydałem walkę wiatrowi, mrozowi i wysokości — i kreśliłem, przerabiałem, badałem materjały, ważyłem, liczyłem i znowu kreśliłem, wreszcie dawałem wykonywać. Równocześnie chodziłem po sklepach i zamawiałem, kupowałem, gromadziłem. Zwykłym moim towarzyszem w tych wędrówkach był Wiktor Ostrowski.

Powoli wyrastała góra ekwipunku: w chwili wyjazdu było tego 12 skrzynek jukowych i kilka tobołów. Mieliśmy trochę za dużo wszystkiego, ale wolałem tak, bo przynajmniej byliśmy przygotowani na wszystko. W ciągu wyprawy rzeczywiście niczego nie zabrakło.

Ekwipunek można zgruba podzielić na pochodowy i obozowy. Do pochodowego zaliczam sprzęt alpinistyczny i ubranie. Do obozowego — namiot i to wszystko, co jest potrzebne do gotowania i spania. Na tem miejscu omówię dokładnie te jego szczegóły, które albo noszą cechy oryginalności, albo były nam wyjątkowo użyteczne. Zacznę od ochrony głowy.

I. EKWIPUNEK POCHODOWY

Jedni z nas noszą w górach najchętniej kapelusze o spadzistem rondzie. Drudzy mają słabość do kominiarek («haub») lotniczych oraz pokrewnych im «piz-palü'wek». Wobec tego — i uznając dodatnie strony obu tych systemów — postanowiłem połączyć kapelusz z haubą lotniczą. Tak powstał po dodaniu jeszcze maski, prawdziwej przyłbicy, nasz hełm górski. Jest to poprostu lekki kapelusz z tkaniny z usztywnionem, nieco spadzistem rondem, przypinany zatrzaskami do kominiarki lotniczej, wyłożonej wewnątrz zamszem.

Kapelusz — chroni od słońca, kryza — odsuwa od twarzy zalodzony kaptur podczas wichru, kominiarka — ochrania uszy i szczęki od mrozu. Można również używać jednej lub drugiej części oddzielnie. Toteż stosowaliśmy hełm w każdej z tych kombinacyj z dobrym skutkiem. Na wielki mróz i wysokość wdziewało się jeszcze pod hełm kominiarkę wełnianą, a przy wyjątkowo przykrej pogodzie można było nałożyć maskę. Ta maska z wykrojami na okulary lodowcowe (ciemne szkła) zakrywała czoło, nos i policzki. Druga jej część odejmowana (na szczęście, bo okazało się, że tylko przeszkadza) zasłaniała brodę. Myśmy owej dolnej części maski nie potrzebowali, gdyż wyrosły nam przeważnie piękne brody, które doskonale chroniły skórę od zimna.

Tak więc była ubrana głowa wspinacza. Nie można też zapominać o dwóch kapturach (od dwóch wiatrówek), które przy niepogodzie okrywały wszystko zwierzchu.

Z okryciem tułowia była łatwiejsza sprawa. Dobór materjałów stanowił tu sedno rzeczy. System wielowarstwowy narzucał się sam jako najracjo-

nalniejszy. Wiadomo, że od zimna chronią nie same włókna tkaniny, lecz powietrze unieruchomione między włóknami. To samo odnosi się do sąsiadujących z sobą warstw materjałów. Od wiatru zaś skuteczną zasłonę stanowi «uszczelnienie labiryntowe», działające przez zmuszenie strug powietrza do skrętów i zmian przekroju, przyczem tracą one szybkość ruchu. Znowu osiągamy ten efekt przez położenie wielu warstw tkanin na sobie.

Ostatecznie — na wysokie wypady szczytowe ubieraliśmy się w ten sposób: 1) na ciało — bielizna Jaeger'a (z czystej wełny); 2) koszula wełniana; 3) spodnie wełniane typu «norweskiego», całe podszyte prawdziwym jedwabiem; 4) dwa swetery z rękawami i długiemi kolnierzami; 5) bluza — kurtka typu używanego do jazdy motocyklem, wykonana z zamszu wełnianego, cała na podszewce jedwabnej; 6) komplet wiatrówkowy (bluza i spodnie) z jedwabiu; 7) komplet wiatrów-



RAKOBUT POMYSŁU INŻ. KARPIŃSKIEGO.

Fot. W. Ostrowski

kowy z gęstej, cienkiej tkaniny «Kera LM», ważącej 166 gr/m. kwadr.; 8) na szyję chustka jedwabna (wypchana rękawicami służyła ona też jako jasiek w wysokich obozach).

Było to «bogato», ale nie czuło się ciężaru pełnego ubioru ani też nie marzliśmy nigdy, jeśliśmy tylko wszystko, co należało, wdziali.

Koledzy Narkiewicz i Ostrowski nocowali tylko w tem ubraniu pod wierzchołkiem Aconcagua i — jak twierdzą — nie było im zimno. Mnie znowu umożliwił ten strój zwiedzenie Cerro de la Ramada przy wietrze huraganowym i przy temperaturze —14,5° C.

Okrycie stóp — tu przewidywałem największe trudności i najbardziej liczyłem się z możliwością klęski «wynalazków». Porwałem się mianowicie na ugruntowane w alpinizmie od przeszło 100 lat, ogólnie poważane raki — i zastąpiłem je rakobutami. Zmieniłem też system okrywania stopy, znowu idąc po linji «wielowarstwowości».

Jak dalece uczestnicy wyprawy powątpiewali o użyteczności prototypów, wskazuje fakt, że wszyscy — nie wyłączając konstruktora — zabrali z sobą «normalne» górskie buty (jako rezerwę) i prawie wszyscy (oprócz mnie) «normalne» raki. W ciągu wyprawy wartość nowych typów obuwia górskiego okazała się jednak w całej pełni.

Nasze okrycie stóp było następujące:

1) dwie pary wełnianych skarpet (można było jeszcze przedtem owinąć stopę onuczkami jedwabnemi, napojonemi eutirsolem, doskonałą maścią «od wszystkiego»), 2) «mokasyny» — z cienkiej i miękkiej skóry wykonane trzewiki, z podeszwą wytłoczoną jak w kierpcach góralskich, 3) wkładki wojłokowe — papucie wykonane z puszystego wojloku wysokiego gatunku, 4) hakobuty lub rakobuty.

Hako- i rakobuty są zupełnie identyczne między sobą z wyjątkiem podeszwy. U pierwszych jest to podeszwa skórzana, okuta jak w butach górskich, tylko o wiele lżej. U drugich — podeszwa ma zamocowane kolce. Hakobuty służą do pochodu po kamieniu, rakobuty — po śniegu i lodzie. Cała przyszwa jest zrobiona z mocnego brezentu, tylko noski są wytłoczone z twardej skóry. Sznurowanie — na haczyki jak w zwykłych butach.

Podeszwa rakobuta posiada między dwoma warstwami skóry wnitowany szkielet z blachy duralowej, będący podstawą dla kolców. Same kolce są wykonane ze stali lotniczej, całe obrabiane mechanicznie i termicznie (ostrza zahartowane, dalej stopniowo odpuszczane).

Te szkielety i kolce (jak również haki lodowe i wspory namiotów szturmowych) wykonały nam w znakomity sposób Państwowe Zakłady Lotnicze. Dzięki wielkiej wiedzy warsztatowej i życzliwości tamtejszych kolegów robota poszła sprawnie, mimo różnych niejasności konstrukcyjnych. Mieliśmy naprzykład kłopoty z obmyśleniem najlepszego sposobu usuwania z obsady w podeszwie trzonu złamanego kolca. Na szczęście nie nastąpił podczas wyprawy ani jeden wypadek ułamania się kolca, mimo, że w miarę wzrastającego zaufania do rakobutów, zaczęliśmy w nich chodzić, a co gorsza zbiegać po piargach i skałach.

Niema nic bez «ale». I rakobuty i hakobuty miały swoją wadę (którą jednak łatwo będzie usunąć): oto kształt ich podeszwy, dokładnie odtwarzający obrys stopy, powodował dotkliwy napór ciężaru ciała na palce podczas zbiegania, zaś obszerność obuwia — ocieranie pięty podczas wchodzenia. W przyszłości zastosowany będzie szeroki rzemień, opasujący podbicie stopy (niezależnie od sznurowania), zaciskany oczywiście tylko w miarę potrzeby i gdy niema obawy odmrożenia.

Rakobut waży tyle, co normalny but górski, a więc odpada cały ciężar raków.

Przyjemnem okazało się łatwe zdejmowanie i wdziewanie rakobutów (sznurowanie zaczyna się w nich od samego noska, który jest specjalnie krótki). Na noc można było przemoczone rakobuty zostawiać mimo mrozu poza namiotem. Skórzane buty wymagałyby potem przy wkładaniu około godziny, rakobuty wkładało się zawsze (nawet zamrożone) ok. 5 minut.

Zabezpieczenie od wpadania do obuwia śniegu i kamyków jest też nowe. Pomysł poddał mi Stefan Daszyński. Na spodniach przyszyty jest wdole mankiet, ściągany tasiemką. Ten mankiet nakłada się na rako- względnie hakobut i tasiemkę zawiązuje się. Aby mankiet nie ześlizgiwał się wgórę, jest na przyszwie buta zamocowany wałek wojłokowy. Sposób ten okazał się doskonały. Ma jedyną wadę: mankiet psuje beznadziejnie «fason» pięknych spodni norweskich. Ale to można w górach przeboleć.

*

W całem ubraniu wytykali mi koledzy z niezwykłą jednomyślnością jeden wielki, kardynalny błąd: nie pozwoliłem zrobić kieszeni. Usprawiedliwiałem się, jak mogłem. Mówiłem, że kieszenie obciążają ubranie, że na drobiazgi mamy «torby przyboczne», że kieszenie w spodniach i bluzie byłyby nieprzydatne ze względu na pokrywające je wiatrówki, że przekładanie drobiazgów z ubrania do wiatrówek byłoby kłopotliwem.

Nic nie pomagało. Musiałem niejedno wysłuchać, a i torbie przybocznej dostało się przy sposobności. Twierdzono mianowicie, że w torbie trzeba przez kwadrans grzebać, zanim się wyciągnie rzecz potrzebną i przypominano mi nieoględ-

nie, że sam zgubiłem — przez takie właśnie grzebanie w poszukiwaniu ołówka — dobre złote pióro, które jakoś wyskoczyło wtedy z torby.

Teraz — chwieję się w swem kategorycznem zaprzeczeniu kieszeni. Pamiętam, że sam chętnie używałem swej jedynej kieszeni (w koszuli) na zegarek (który w torbie przybocznej zamarzał); że czasem dobierając się do zapalniczki, wyciągałem z głębin torby zamiast niej — pudełko z «kolą» i w rozczarowaniu wymawiałem brzydkie wyrazy. Być może, że wobec tego wszystkiego w przyszłych ubiorach wspinackich będą kieszenie. Dużo lekkich, jedwabnych kieszeni z przemyślnem zapinaniem.

Żeby już skończyć z temi przedmiotami, które ściągały na mnie gniew towarzyszów, powiem o worach ładunkowych. Te wory — to właściwie nie mój pomysł. Wziąłem go od dra Bauer'a. Trochę tylko dodałem i domyśliłem, czego w opisie autora brakowało. Mimo to bezsprzecznie ponoszę odpowiedzialność za przyjęcie tego bauerowskiego typu wora do ekwipunku naszej ekspedycji. Każdy z nas miał dwa takie wory z pięknie wyhaftowanemi napisami reklamowemi firmy, która je robiła. Połowa z nich była czerwona, aby ułatwić znalezienie wora, zostawionego w terenie. Raz się to nawet przydało, pod Aconcagua. Były one przeznaczone do przenoszenia ładunków z bazy do wysokich obozów. W rezultacie jednak służyły przedewszystkiem do przewożenia mienia uczestników wyprawy na mułach. Idąc do wysokich obozów, koledzy woleli używać małych, lekkich «worków szczytowych», przymocowując na nich z zewnątrz namioty i śpiwory. Ja sam pozostałem do końca wierny wielkiemu, czerwonemu worowi i nie mam mu nic do zarzucenia.

Wór ładunkowy różni się tem od normalnego plecaka, że jest o wiele dłuższy i wgórze jest szerszy, niż wdole. Jeśli upakuje się go należycie, dając na spód cięższe przedmioty, leży doskonale na plecach i daje się łatwo dźwigać, mając środek ciężkości w okolicy barków i blisko ciała. Ma tę zaletę, że jest obszerny (mieści się w nim swobodnie 25 kg. ładunku górskiego) i daje się łatwo opróżniać dzięki zbieżności ścian. Również do marszu przez mniszki (nieves penitentes) jest wygodny, bo nie zawadza w ciasnych uliczkach między taflami śnieżnemi.

Zarzucano worowi ładunkowemu, że chyli się na boki i w pochodzie narusza równowagę wspinacza. Zjawisko to powstawało rzeczywiście, jeżeli przy pakowaniu dano z konieczności, albo przez nieuwagę, ciężkie rzeczy na górę. Pozatem dla szczuplejszych między nami pasy były za szeroko rozstawione.

Uczucie zadowolenia, jakie nas ogarniało, gdy ruszaliśmy w górę z przeszło 20 kg dobytku na plecach, było bezwątpienia pogłębiane przez worki piersiowe. Są to dwa podłużne worki, które zawiesza się na pasach wora ładunkowego z przodu, tak że zwisają na piersiach. Stąd ich nazwa. Dobrą stroną tych «aneksów» było to, że prostowały postawę objuczonego wspinacza, bo działały jako przeciwwaga ciężaru plecowego. Wadą ich to, że w marszu miały tendencję do bujania na boki, albo uderzały w brzuch. Trzeba je było związywać, ale z tem zawsze był połączony kłopot.

Pewną rewelacją w dziedzinie plecaków jest nasz worek szczytowy, tak nazwany, bo był tylko na to stworzony, by zabierać w nim okrycia i przyrządy, potrzebne w ostatniej fazie ataku na szczyty. Ten ultra-lekki worek waży tylko 250 gramów. Życie rozszerzyło jego zakres stosowania poza granice, które mu wytknąłem. Często był on używany jako sakwa podręczna podczas podróży mułami, nierzadko jako jedyny worek ładunkowy na wypady, począwszy od bazy. Oczywiście takie «nadużywanie» zaznaczyło swe ślady na większości naszych worków szczytowych. Trzeba jednak przyznać, że wytrzymały ostatecznie wszystko i spełniły dzielnie swe zadanie.

Muszę jeszcze skończyć z ubraniem. Problem okrycia rąk nie dawał mi spokoju, odkąd zacząłem myśleć o ekwipunku górskim. Dziwne mi się wydawało, że

w tym kierunku nie obmyślono nic poza dwu-palcowemi rękawicami wełnianemi i brezentowemi. Tymczasem żadne ulepszenie nie przychodziło mi do głowy, więc wkońcu dorobiłem tylko jedwabne rękawiczki 2- i 3-palcowe i wyekwipowałem wyprawę w standardowe wełniane i brezentowe rękawice narciarskie, z dodatkiem tych jedwabnych i drugiej pary wełnianych dla zmiany na wypadek przemoczenia. Uspokajałem się tem, że poważne odmrożenia rąk są mało prawdopodobne, bo tutaj najłatwiej jest zauważyć rozpoczynające się marznięcie i odpowiednio zareagować.

Teraz — po wyprawie mam już gotowy projekt ulepszonego zabezpieczenia rąk. Niestety zapóźno: sam asystowałem, kiedy nasz doktór przecinał ostatnie włókna, na których trzymał się jeszcze koniec palca Narkiewicza — po odmrożeniu...

•

Reszta ekwipunku pochodowego była rynkowa. Tak więc cały rynsztunek wspinacki: czekany, liny, karabinki asekuracyjne, młotki i haki skalne. Mieliśmy też nieocenione płachty Zdarsky'ego, używane dość często do biwaków na wielkich wysokościach.

O termosach, które zakupiliśmy w Buenos Aires, można powiedzieć tyle, że próżnia w ich naczyniach Dewar'a musiała być problematyczną: w mroźne noce, spędzane w wysokich obozach, trzeba było termosy z ciepłemi napojami trzymać koło siebie w śpiworze, aby rano nie znaleźć w nich — lodu. Pozatem kilka z nich «stłukło się», ale to już nie ich wina.

Aneroid (zakres 0 do 8000 m) kupiliśmy za drogie pieniądze. Zato miał być precyzyjny — tak dalece, że firma nie dodała nawet krzywej poprawek na temperaturę: miały być one równe zeru. Tymczasem okazało się, że poprawki były, i to pokaźne. Prócz tego dwa razy w ciągu wyprawy zmieniły się skokiem — wcale nie precyzyjnie. Z histerezą były spoczątku tragedje. Na szczęście miałem doskonały hypsotermometr, którym wyłapywałem wszystkie błędy aneroidu. Dzięki temu były wogóle możliwe pomiary wysokości.

O oryginalnych hakach lodowych (do asekuracji na lodzie), zrobionych z kątownika duralowego nie piszę, bo jakoś nie mieliśmy sposobności wypróbowania ich w właściwy sposób. Zato używane były z dobrym skutkiem jako kołki namiotowe.

II EKWIPUNEK OBOZOWY

Obóz musi być dla eksploratora, rzuconego przez przyjazny los zdala od zacisznych, ciepłych pokojów — wygodnym domem, miejscem pracy i wypoczynku.

I to nietylko obóz główny — baza. Również wysoko w górach, po zejściu ze szczytu w burzy śnieżnej trzeba w namiocie znaleźć ciepło i ciszę. Inaczej — trudnoby było przez całe miesiące bez przerwy podtrzymać w sobie napięcie woli i nerwów, potrzebne do działania w tak niezwyczajnych warunkach.

My mieliśmy trzy rodzaje namiotów. Jeden wielki, typu harcerskiego «Kera», służył nam jako baza. Jest on bardzo obszerny i wysoki. Ta wysokość właśnie, bardzo sympatyczna jeśli chodzi o camping nad jeziorami brasławskiemi, była główną przyczyną niejednej porażki dobrego namiotu w Andach. Wytrzymywał on wiatr do 30 m/sek. — taki był mocny. Gdy jednak huragan przekraczał tę szybkość, a w dodatku wiał podmuchami (zwykła forma wiatru górskiego) — najlepiej wbite kołki i napięte linki luzowały się, dach i ściany łopotały groźnie, aż wreszcie coś się wyrywało z ziemi i namiot zdeformowany groził lada chwila zawaleniem. Jeżeli to był dzień, wychodziliśmy wszyscy i wytrwale walczyliśmy o ognisko domowe. W nocy — wychodził ten, który spowodu dzikiego szamotania się ścian spać nie mógł; ale wysiłki jednostki były zwykle mało skuteczne. Po jednej z takich «lepszych» nocy rano nastąpiła katastrofa. Obudził nas trzask walącego się namiotu. Po godzinie pracy dom nasz stał znowu, ale ze swej dumnej wysokości musiał zrezygnować: obniżyliśmy go do połowy. Teraz już trzymał się jakoś, ale życie w środku stało

się ciężkie. Pomiary, obliczenia i kreślenia wymagały od tego czasu pewnego abstrahowania od komfortu, odbywały się jednak jak zwykle.

Oprócz tego mieliśmy trzy namioty typu «Kera-PW», składane z dwóch płacht, z podlogą, rozpinane na jednym słupku. Te namioty, które ustawiały się szybko, oddały nam wielkie usługi podczas podróży mułami. W środku było przestronnie dla dwóch ludzi.

W tych namiotach i w bazie używaliśmy materaców nadymanych. Angielskiego pochodzenia, bardzo lekkie, a jednak szczelne — miały tę wadę, że przy silniejszem wydęciu zrzucały z siebie śpiącego, przy każdej poważniejszej próbie zmiany pozycji. Zato można było spać «jak na sprężynach» miękko, na ostrych nawet, sterczących kamieniach.

Śpiwory «bazowe», które każdy z nas miał do użytku w obozie głównym, były kupione w kraju, a izolującą warstwę stanowił w nich kapok. Spoczątku sprawowały się dobrze. Po kilku jednak tygodniach kapok zbił się i śpiwory stały się mało warte.

Trzecim typem namiotów były jedwabne szturmowe namioty «Akar-Ramada». Mieszczą one po dwóch wspinaczy. Ściany ich podwójne, zszyte z podłogą, są utrzymywane w odległości 2 cm od siebie zapomocą małych koleczków. Wewnątrz są dwa «apartamenty» przedzielone kotarą: trójkątny «przedpokój» i sypialnia kształtu trapezu. Wysokość namiotu, wynosząca w głowach sypialni 1 m, zmniejsza się do 0 w końcu przedpokoju i do 50 cm w nogach sypialni. Cała konstrukcja trzyma się na jednej wspórce (z rur duralowych). Wspórka zakończona jest w górze załamaną skośnie poprzeczką, która rozsuwa boczne ściany i daje obszerny przekrój dla siedzących wewnątrz. Ta wspórka stoi pośrodku na granicy przedpokoju i sypialni. Drzwi znajdują się w przedpokoju. Są zapinane podwójnie na guziki.

Stawianie tych namiotów było proste nawet w silnym wichrze. Po zamocowaniu kołkami (lub kamieniami) 5-ciu naroży podłogi, wstawiało się jednym ruchem wspórkę, potem napinało antenę; wreszcie w razie wichru zakładało się sznury burzowe i już można było wprowadzać się. Najdłużej zawsze trwało wyrównywanie miejsca pod namiot, zwłaszcza jeżeli trzeba było wykuwać platformę w zlodzonym piargu.

Cały namiot wraz ze wspórką i kołkami waży 3 kg. Typ «Ramada» okazał się bardzo wytrzymałym (nic zresztą dziwnego, gdyż nasze namioty były zrobione wyłącznie z materjałów lotniczych): dwa takie namioty stały bez opieki przez tydzień w czasie największych wichrów wysoko w Dolinie Ramada — koledzy znaleźli je potem nienaruszone. Tylko wewnątrz były zmarznięte zacieki. Widać woda z tającego śniegu przedostawała się przez szwy, które nie były wykonane jako wodoszczelne.

Impregnacja jedwabiu ścian była wykonana systemem inż. Mogilnickiego w zakładach farbiarskich T. Łypaczewskiego. Nie mieliśmy niestety sposobności wypróbowania jej dobroci w długotrwałym deszczu, bo go nigdy nie było.

Wewnątrz namiotu było zacisznie nawet podczas burzy. W wielkim wichrze, na wysokości około 5700 m, pisał sobie doktór Dorawski, spokojnie leżąc w namiocie, swoje wspomnienia z wejścia na Alma Negra. Chyba jest to najwyżej pisany artykuł dziennikarski.

Przy wyrobie namiotów szturmowych było wiele kłopotów. Przyznaję, że fabrykacyjnie są one dość skomplikowane. W każdym razie chyba nikt jeszcze tak nie namęczył w życiu majstra Łopackiego z wytwórni «Kera», jak jak to musiałem robić w ostatnim tygodniu. Zato teraz może być majster zadowolony: udało się.

Nasze śpiwory wysokogórskie były też wykonane w «Kerze» i spełniły należycie zadanie. Składają się one z 5 warstw, nie licząc wkładki jedwabnej do wyjmowania. Wewnętrzna warstwa jest z jedwabiu. Następują dwie warstwy wateliny wełnianej w wysokim gatunku. Między temi warstwami leży puch gęsi. Dzięki



Fot. W. Ostrowski

BAZA POD MERCEDARIO.

temu umieszczeniu między watelinami uzyskałem to, że puch wcale się nie zbijał — bo nie mógł się przesuwać. Z zewnątrz cienka i gęsta tkanina Kera — K 85. Śpiwory były jedno- i dwu-miejscowe. Te ostatnie okazały się trochę za ciasne; bądź co bądź spało się w nich ciepło, nawet w tęgich mrozach i na wielkich wysokościach (pod Aconcagua — około 6350 m), gdzie łatwo o marznięcie. Dobrą izolację dodatkową od strony podłogi mieliśmy, podkładając pod siebie kawałki kauczuku piankowego (mousse). Śpiwór dwumiejscowy waży 2,8 kg, ale trudno wykonać lżejszy, aby był dostatecznie dobry na 6000 m.

«Meta» jako paliwo w wysokich obozach okazała się zgodnie z przewidywaniami najlepszą. Mieliśmy też małe składane prymusy benzynowe, ale spoczątku nie było do nich benzyny, a potem, kiedy już była, wszyscy woleli jednak używać poręcznych kuchenek metowych. W bazie gotowaliśmy na dużym prymusie naftowym, który doskonale się sprawiał.

Do oświetlania mieliśmy świece, latarki świecowe i latarki elektryczne. Latarki świecowe nie były prawie nigdy używane. Zawsze woleliśmy albo palić świecę ustawioną poprostu na pudełku konserw, albo mieć oświetlenie elektryczne.

Muszę jeszcze wspomnieć o zapalniczkach. Niektóre nie chciały wcale funkcjonować — naprawdę bez zrozumiałego powodu. Dwie były takie, które działały dobrze — do pewnej wysokości. Od 5500 m już i one strajkowały przy najlżejszym wietrze — brak im było widocznie tlenu.

Nie piszę nic o narzędziach i materjałach reparacyjnych, o naczyniach kuchennych, o ubraniach treningowych, w których chodziliśmy w głównym obozie o rewolwerach, z których strzelano do celu, do przepiórek i guanaco, i o wielu wielu innych sprzętach, które nam towarzyszyły. Są to bowiem te same przedmioty, których używamy w dolinach.

Tak to wyposażyłem wyprawę andeńską. Było sporo niedociągnięć, były też rzeczy dobre. «Potykaniem dobrem potykałem się» i uczyłem się wciąż tego, czego nie mogły mi dać Tatry i Alpy. Uczyłem się na przyszłość.

Inż. Adam Karpiński

PARĘ WSPOMNIEŃ...

W Dakarze czarni chłopcy łowią rzucone do wody monety. Już tydzień podróży i wiele kilometrów oceanu dzieli nas od brzegów Europy. Nie tak dawno opuszczaliśmy Warszawę pełni zapału, chcąc przebyć jednym skokiem pół kuli ziemskiej i zmierzyć się jaknajprędzej z wymarzonemi Andami. Jeszcze nie przejechaliśmy równika, jeszcze nie ochrzcili nas w imieniu Neptuna marynarze, nie widziałem jeszcze wrzaskliwej, tropikalnej Bahia z tłumem sprzedających małpy, owoce i skóry wężowe przekupniów. Nie wiedziałem jeszcze, że będę się kąpał w oceanie w najcudniejszem Rio, że zobaczę gorące Santos z jego kawą i bananami, że przez dwa przeszło tygodnie będę zwiedzał wielkie Buenos Aires, nie spodziewałem się jeszcze wielu wrażeń i widoków. Zaczynałem dopiero oglądać dwanaście tysięcy kilometrów barwnego filmu całego świata, dzielące nas od celu podróży.

W Dakarze czarni chłopcy łowią rzucone monety. Tydzień temu pełen entuzjazmu opuszczałem Warszawę, teraz patrzę na nurkujące czarne sylwetki i nie pamiętam, że jadę zdobywać Andy.

*

Czytelnicy darują mi ten niespodziewany i mało licujący z powagą górskiego organu wstęp. Pragnąłbym tylko w ten sposób dać wyraz przekonaniu, że samo zdobywanie dalekich gór, aczkolwiek jest celem wyprawy, stanowi tylko niewielką część długiej barwnej podróży, a trudności alpinistyczne są poprzedzone mnóstwem kłopotów i komplikacyj podróżniczych innej wprawdzie natury, jednak niemniej groźnych dla ostatecznego wyniku.

Rezultaty naszej ekspedycji zostały zawarte w mapach, kronikach i opisach, uwiecznione na kliszach fotograficznych i taśmie filmowej. Zanotowano dokładnie każdy krok, jego godzinę i minutę. Pozostałby do zapełnienia odstęp między wierszami suchej kroniki, czas między jedną i drugą zanotowaną godziną, w którym przecież ruszaliśmy się, żyli — i przeżywali. Nie będę się silił na opisanie w tem miejscu choćby części tych wrażeń i przygód. Opowiemy je pomału wszyscy. Będziemy je sobie długo opowiadać i przypominać coraz inne, kiedy będą tematem wieczornych rozmów w schroniskach tatrzańskich, tak jak często w Andach tematem były Tatry. Ograniczę się do poświęcenia paru wierszy trzem najwierniejszym towarzyszom naszej wędrówki, którym niedość może miejsca udzielono w kronice.

*

Jest ich czterech. Ciemne twarze, smukłe, przybrane w malownicze łachmany postacie — nasi «baqueanos». Nie romantyczni synowie gór, nie rewjowi gauczowie — prości, ubodzy chłopi, których los umieścił u podnóża Andów i kazał w ciężkim trudzie wydzierać kamiennej pustyni skrawki uprawnej ziemi. W góry zaglądają — owszem. Można tam paść owce, można upolować «guanaco», podobno można znaleźć złoto. Znają kilkanaście dolin i rzeczek, słyszeli od ojców i dziadów o jeszcze kilku innych. Pierwszy raz w życiu podjęli się powieść w góry dziwnych «gringos», którzy chcą wiedzieć, jak się nazywają bezużyteczne części gór — szczyty, a nawet wchodzą na nie.

Ruszają na wyprawę zawinięci w malownicze «poncho» i zaopatrzeni w nieodzowną «yerba mate». Rozumieją, czego od nich chcemy, nawet wię-

cej, niż im potrafimy powiedzieć. Zawsze mamy na czas osiodłane muły, rozpalone ognisko i pomyte naczynia. Nie wiem kto ich uczył prostej, szczerej grzeczności i nieschodzącego z ust uśmiechu — może płynąca w ich żyłach krew Inkasów, lub krew starej szlachty hiszpańskiej? Mimo wszystko nie rozumieją, pocośmy tu przyszli. Kiedy nasz geolog przepłókuje w potoku patelnię żwiru, ożywiają się — może złoto?

Zaszliśmy już daleko, wyszukali wraz z nami przejście przez nieznane przełęcze i doliny — ruszyliśmy do ataku, pozostawiając ich w dole na straży naszego dobytku i mułów.

Nie wiem co myśleli przez ten tydzień samotności nasi «baqueanos», nie wiem o czem mówili na widok kryjących szczyty mgieł i bijących piorunami śnieżyc, ale kiedy wróciliśmy do nich, po raz pierwszy wyciągnęli na powitanie dłonie i tego wieczora, przy wspólnem ognisku, pociągając z jednej rurki ceremonjalną «yerbę» — święciliśmy dzień porozumienia.

•

Schyliwszy kłapouche głowy, skubią skąpą trawę muły, nasi najdzielniejsi towarzysze. Przeszły już wiele przełęczy i dolin, przeniosły na grzbietach setki kilogramów bagażu. Stoją jak codzień spokojnie, jak codzień wyruszą jutro dalej.

Mieliśmy kiedyś na chwilę szaleńczy zamiar, żeby używać ich tylko do przenoszenia ładunku, a samym iść piechotą — przepraszam nasze muły za tę zarozumiałość. Nie dotrzymalibyśmy im kroku ani przez godzinę. Wspiąć się na kilka wysokich przełęczy, zejść wdół, jeszcze i jeszcze raz wspiąć pod górę, to codzienna porcja ich pracy, za którą zapłatę stanowi prawo poszukania sobie przez noc pożywienia.

W dodatku nie mamy wobec nich czystego sumienia. Nie zawsze dzieliliśmy się pracą sprawiedliwie, dowodząc naszej racji ostrogą i batem. Niech mi będzie wolno wymienić dwóch bezimiennych bohaterów Cerro Ramada, którzy pobili prawdopodobnie światowy rekord czworonogów, wychodząc na 5900 metrów aż do ostatnich granic swych możliwości — i tego, którego okładałem na Aconcagua drzewcem czekana, chcąc go zmusić do wyniesienia mego plecaka na lodowy, przysypany piargiem próg. Szedł póki mógł, aż zwalił się, unikając cudem skręcenia karku, w głębokie koryto lodowcowego potoku. Zdawało mi się, że spogląda na mnie ironicznie, widząc, że moje wygórowane żądania muszę opłacić ciężką pracą wydobywania go z opresji i noclegiem w przemoczonym namiocie.

Nie wymieniam innych, bo musiałbym wyliczyć wszystkie. Swoją wytrzymałością, siłą i mądrą znajomością terenu przyczyniły się walnie do naszego sukcesu i pozostały w naszej pamięci jako symbol żmudnej i wytrwałej pracy zdobywania wysokich gór.

•

Kaprys natury, czy przedziwny splot warunków klimatycznych, stworzył andyjskie dziwolągi śnieżne. «Nieves penitentes» — pokutujące śniegi. Trudno znaleźć lepszą nazwę dla tych fantastycznych igieł, pokrywających mniszemi szeregami kilometrowe przestrzenie, gęstym tłumem pnących się na każdy płat śniegu. Co roku giną równane zimowym śniegiem, co roku wyrzeźbione cierpliwą pracą słońca i wiatru, nanowo rozpoczynają pokutnicze modły. Na tle czerwonych andyjskich piargów odcinają się pięknie białemi, niespokojnemi plamami, niesamowicie grożą gmatwaniną błysków i cieni w księżycowe noce. Ominąć je niesposób, przejść trudno. Wyrastają śmiałkowi na drodze, chwytają za plecak, łamią się znienacka pod ciężarem ciała,

zmuszają do walki wręcz, bronią się biernie swą mnogością, wyczerpując nerwowo przeciwnika.

Poznaliśmy się z nimi dobrze. Przez nie zdobywaliśmy czterystametrową przełęcz w ciągu dziewięciu godzin w pechowej wyprawie na szczyt «N», one ukradły nam płachtę Zdarsky'ego w tejże wyprawie, one walczyły z nami wszędzie, gdzieśmy je spotkali, męcząc i zniechęcając.

Gdyśmy po udanych wyprawach odpoczywali przy ognisku obozowem, zapominając szybko o minionych trudach, w olbrzymich polach śnieżnych długo pozostawał ślad naszego zwycięstwa — wąska ścieżka poległych w obronie gór «penitentów».

Stefan Osiecki

BADANIA TOPOGRAFICZNE WYPRAWY

(OBJAŚNIENIE DO OGŁOSZONEJ MAPY)

Prace topograficzne przeprowadzane były wyłącznie na terenie Cordillera de la Ramada, jako jeszcze niezbadanym. Prowadzili je wspólnie inż. A. Karpiński i dr. J. K. Dorawski. Miano do dyspozycji jedyne dwie mapy, obejmujące także teren badany, a mianowicie mapę 1: 500.000, wydaną przez Instituto Geográfico Militar w Buenos Aires w r. 1929, oraz amerykańską mapę świata 1:1 000.000 odcinek Coquimbo-San Juan, wyd. w r. 1930 przez Geographical Society of New York. Obie b. niedokładne i nie oddające należycie terenu górskiego. W swych pracach topograficznych oparli się członkowie wyprawy na więcej wiarygodnej mapie argentyńskiej, przyjąwszy za ustalone położenie wierzchołków Mercedario, Alma Negra i La Mesa. Prace topograficzne przeprowadzano wyłącznie przy pomocy stolika i busoli oraz aneroidu i hypsotermometru. Rezultatem ich był szkic topograficzny, nakreślony w podziałce 1: 100.000. Na szkicu tym wszystkie koty podane są według pomiarów inż. Karpińskiego — z wyjątkiem dwóch: wysokość Alma Negra wzięta jest z mapy argent., a La Mesy z najnowszych, jeszcze nieopublikowanych danych Instytutu Geogr. Wojsk. w Buenos Aires. Imiennictwo opiera się na wspomnianej mapie argentyńskiej oraz na podaniach «baqueanos» w zakresie nazw rzek, potoków, jezior i głównych czterech szczytów (Mercedario, Mesa, Alma Negra, Ramada). Wszystkie inne nazwy zostały po raz pierwszy użyte dopiero przez polską wyprawę.

[Dla objaśnienia mapki podajemy: Cerro = szczyt; Paso, Portezuelo = przełęcz; Ventisquero (skróc. V-ro) = lodowiec; Rio = rzeka, Arroyo = potok. Na szkicu topograficznym zaznaczono obozy wyprawy — zakropkowano te części lodowców, które przykryte są piargiem moreny — wszystkie inne znaki tłumaczą się same].

BIBLJOGRAFJA

CENTRALNEGO ODCINKA ANDÓW ARGENTYŃSKICH (MERCEDARIO—TUPUNGATO)[1]

ZESTAWIŁ J. K. DORAWSKI

1. Andina, illustr. Monatsschrift der S. Chile des Deutschen u. Oest. Alpenvereines, Santiago. Roczniki 1926–1934.

2. Brackebusch Ludwig, Die Cordillerenpässe zwischen der argentinischen Republik und Chile vom 22° bis 35° (Zeitschrift der Gesellschaft für Erdkunde, Berlin XXVII. Nr 4. 1892).

3. Brackebusch Ludwig, Reisen in den Cordilleren der argentinischen Republik (Verhandlunden der Gesellschaft für Erdkunde XVIII, Berlin 1883).

4. *Conway W. M., Aconcagua and Tierra del Fuego, London.

5. — Climbs in the Andes in 1898 (Alpine Journal XIX).

6. La Cordillera de los Andes entre las latitudes 30° 45′ y 35°. Oficina de limites. Santiago 1903.

[1]) Gwiazdkami oznaczono specjalnie ważne pozycje.

7. Daszyński S. W., A polish expedition to the High Andes (The geographical Journal, London, zesz. z sierp. 1934).
8. Daszyński S. W., Polska wyprawa alpinistyczno-naukowa w góry Ameryki Poludniowej (Wierchy, XII, 1934, s. 105).
9. Demarcación de limites entre Chile y la República Argentina, Santiago de Chile 1898.
10. * Fitz-Gerald E. A., The highest Andes, London 1899, Methuen and Co.
11. — The ascent of Aconcagua, London 1899.
12. — Climbing the highest Andes New York 1900.
13. — The Expedition of Aconcagua. (Alpine Journal XIX. 139.).
14. — Exploration on and around Aconcagua. (Geographical Journal XII. London).
15. * Frontera Argentino-Chilena en la Cordillera de los Andes. Exposición argentina. 5 tomów in 4⁰, 16 map, 150 tablic.
16. Greger J., Der Weg über die Cordillere zwischen Argentina und Chile, Wien 1893.
17. * Güssfeldt Paul, Reise in den Andes von Chile und Argentina, Berlin 1884, Gebr. Paetel.
18. — Der Vulcan Aconcagua von NNW, (Zeitschrift des Deutschen und Oest. Alpenvereines XV. 1884).
19. Habel Jean, Aus den argentinischen Anden, (Zeitsch. d. Deutschen u. Oest. Alpenvereines XXVII, Graz 1896).
20. Hanisch Ludwig, Eine Besteigung des Tupungatito (Zeitsch. des D. u. Oe. Alpenvereines XL, München 1909).
21. * Helbling Robert, Beiträge zur topografischen Erschliessung der Cordillera de los Andes zwischen Aconcagua und Tupungato (Jahrbuch d. Akademischen Alpenklub, Zürich 1929).
22. Herzog Theodor, Bergfahrten in Südamerika. Stuttgart 1925.
23. Hoek Henry, Demarcación de limites... etc (Oesterreichische Alpenzeitung 30. Nr. 772) (Omówienie pozycji 7-mej nin. bibl.).
24. Keidel H., Über den Bau der argentinischen Anden (Sitzberichte d. Kais. Akademie d. Wissenschaften, Wien. Math.-nat. Kl. CXVI Abt. I).
25. Keidel H., Über den Büsserschnee in den argentinischen Anden (Zeitschr. für Gletscherkunde IV. 1909 und Petermanns Mitt. August 1912).
26. K. R., Wyprawa polska w Andy (Taternik XVIII, 1934, s. 20, 57 i 73).
27. — Aconcagua (Taternik XVIII, 1934, s. 92).
28. * Kühn Franz, Aus den Hochkordilleren von San Juan, (Petermanns Mitteilungen Juli-September 1913. Gotha).
29. Larden Walter, Argentine plains and andine glaciers. London 1911.
30. — Three weeks camping-out in the Andes (Alpine Journal XXV. 191/2).
31. * Maass Albrecht, (rozdział w książce Th. Herzoga, Der Kampf um die Weltberge, Bruckmann, München 1934).
32. Müller J., Aus chilenischem Bergrevier (Jahrbuch d. Schweizer Alpenclubs 38, Bern 1903).
33. * Reichert Fritz, La Exploración da la alta Cordillera de Mendoza. Buenos Aires 1929.
34. — Aconcagua (7020 m), (Oest. Alpenzeitung XXVII 693/4, Wien 1905).
35. — Die Besteigung des Aconcagua (Oest Alp. Zeit. XXVIII 727/8, Wien 1906).
36. — Aus dem Cordillerenabschnitt Aconcagua—Tupungato (Oest. Alp. Zeit. XXIX 746, Wien 1907).
37. Reichert Fritz, Juncal-Expedition (Oest. Alp. Zeit. XXXII 818, Wien 1910).
38. — Das Gletschergebiet zwischen Aconcagua u. Tupungato (Zeitschr. für Gletscherkunde IV, Leipzig 1910).
39. Reichert Fritz, Die Penitente-Schneefelder im Gebiet zwischen Aconcagua und Tupungato (Zeitschr. für Gletscherkunde 4, 5, Leipzig 1910).
40. Reichert Fritz, Erschliessung der höchsten Anden. (Zeitschr. d. Deutschen Wissen. Vereins Buenos Aires 1915).
41. Reynier Louis, Une tentative a l'Aconcagua (Annuaire de la Soc. de Tour. Dauphin. 35, Grenoble 1910).
42. * Rivista Mensile del Club Alpino Italiano, zeszyt z czerwca 1934 r.
43. Sánchez Zacarias, Frontera Argentino-Chilena. Documentos de la demarcación. (Oficina de limites internationales. Tomo II, Buenos Aires. (1912).
44. Schiller W., La alta Cordillera de San Juan y Mendoza y parte de la Provincia de San Juan (Annales d. Minist. Agric. Geol. Minas y Mineria VII. Nr. 5, Buenos Aires 1912).
45. Schneider Erwin, Aconcagua! (Der Bergsteiger Nr. 5. Februar 1933).
46. Steffen, Neue Forschungen in den chilenisch-argentinischen Hochkordilleren (G. Z. II 1905)
47. * Taternik, organ Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, zeszyt ze styczeń 1935 r.
48. Vines Stuart, The ascent of Aconcagua and Tupungato (Alpine Journal XIX).
49. Zurbriggen Mathias, From the Alps to the Andes, London 1899.

WŁOSKA WYPRAWA W ANDY 1934

W tym samym czasie, co i Polacy, działała w Andach (p. «Taternik», XVIII, 69, 70, 94 i 141) włoska wyprawa Sekcji Turyńskiej Włoskiego Klubu Alpejskiego, kierowana przez hr. Bonacossa. Z podwójnego zeszytu «Rivista Mensile del CAI» (z czerwca 1934 r.), poświęconego w całości dokładnemu omówieniu tej wyprawy, możemy szczegółowo poznać jej dzieje. Pierwotnie nosili się Włosi z zamiarem ataku na Tronador i na Mercedario; ale w Rio de Janeiro otrzymali wiadomość o świeżem zdobyciu Tronadoru przez samotnego turystę niemieckiego, a w Buenos Aires o operacjach w Ramadzie «un gruppo polacco comprendente alcuni alpinisti noti nelle Alpi». Program zatem częściowo zmodyfikowano, i ostatecznie uzyskała wyprawa następujące wyniki: 1) I. w. na Cerro Cuerno (5550 m) w grupie Aconcagua (P. i S. Ceresa, dr. R. Chabod, P. Ghiglione i F. Strasser z trag. M. Pastenem, dnia 25 lutego); 2) I. w. na chilijski wierzchołek Tronadoru (por. str. 79); 3) I. w. na Nevado de los Leones (6275 m) (G. Boccalatte i P. Zanetti, dnia 3 marca; najpiękniejszy sukces ekspedycji!); 4) VII. w. na Aconcagua (7035 m), zwyczajną drogą od pn.-zach. (P. i S. Ceresa, R. Chabod, P. Ghiglione i Argentyńczyk N. Plantamura, z trag. Pastenem, dnia 8 marca); 5) I. w. na Punta Campione d'Italia (5050 m) (L. Binaghi i G. Gervasutti, 23 marca); 6) I. w. na Cerro Littoria (5400 m) (ci sami, dnia 3 kwietnia); 7) prócz tego kilka I. w. na wysokie przełęcze (np. Colle Roma 4850 m, lub Colle GUF 4830 m) i próba zdobycia Cerro Marmolejo (6100 m).

Nie chcemy porównywać wyników obu wypraw, chociaż porównanie nasuwa się samo. Ponieważ jednak Włosi pierwsi napisali o «nostri rivali polacchi», przytoczymy poprostu w skrócie kunsztowny wywód dra Renato Chabod, czemu to Włosi powtórzyli na Aconcagua drogę od aż nadto znanej Valle Horcones, zamiast szukać nowego szlaku. Otóż — zdaniem sprawozdawcy — sprawa jest zupełnie jasna: Włosi na Aconcaguę wejść *musieli*, nie mogli zatem ryzykować szukania nieznanej drogi. Przecież i w Alpach, jeżeliby ktoś *musiał* wejść na Jorasses, szedłby napewno zwyczajnem przejściem od Courmayeur, a nie atakował pn. ściany masywu. Zresztą w Ameryce jest ważne tylko aby być pierwszym, a mniejsza już oto, jakim sposobem.

Wśród gniewnych, wątpliwych i, powiedzmy szczerze, absurdalnych wyjaśnień — jaskrawo występuje, tem cenniejsza że wbrew woli, pochwała wielkiego czynu alpinizmu polskiego. J. A. Szcz.

KARTA ŻAŁOBNA

✝ **Sergio Matteoda.** «Taternik», XVIII, 141, podał, że wybitny szczyt andyjski Tronador zdobyli alpiniści włoscy, uczestnicy wyprawy z 1934 r. Nie było to prawdą. Główny wierzchołek Tronadoru (3460 m) już w dniu 29 stycznia 1934 r. zwiedził alpinista niemiecki z Chile, H. Claussen, a pozatem podjęli nań atak już z początkiem lutego t. r. inni alpiniści włoscy, W. Durando i S. Matteoda. W dniu 4 t. m. wyruszyli oni z górnego obozu ku szczytowi i zatracili się w niepogodzie.

Wyprawa hr. Bonacossy zaatakowała Tronador z końcem lutego 1934 r. Ostatniego t. m. weszli A. Bonacossa, C. Binaghi i G. Gervasutti na chilijski wierzchołek Tronadoru, 3430 m. Znaleźli ciało Matteody i wierzchołek nazwali jego imieniem.

Zmarły alpinista należał do b. wybitnych włoskich wysokogórców, dokonał m. i. III. prz. pd. ściany Punta Gnifetti, VII. prz. Grani Péteret (p. «Taternik», XVII, 32) i I. w. na Grandes Jorasses od Col des Hirondelles.

Zwłoki Basila Mardena (p. «Taternik», XVIII, 93) znaleźli w marcu 1934 r. alpiniści włoscy na Aconcagua, w wys. ok. 6500 m.

Wypadek na Grosshornie. Alpinista szwajcarski, Rudolf Bühler, zginął wraz z dwoma swymi przewodnikami, Rudolfem Brunnerem i Robertem Bischoffem, porwany śnieżną lawiną przy trawersowaniu Grosshornu w Alpach Wallijskich w dniu 21 sierpnia 1934 r.

Wypadek na Pic d'Olan. W dniu 14 lipca 1934 r. zmarli na Pic d'Olan w Pelvoux, zwyciężeni niepogodą, dwaj znani alpiniści z Grenoble, Martin Morel i Louis Zwingelstein. Zwłaszcza Zwingelstein zapisał się dobrze w alpinizmie francuskim, np. I. przejściem Col du Diable, a także głośnym rajdem narciarskim przez całe Alpy francuskie i szwajcarskie.

KRONIKA ALPINISTYCZNA

Nowy sukces alpinizmu andyjskiego. Zachęceni powodzeniem swoich kolegów z Santiago («Taternik», XVIII, 34, 141) zaatakowali członkowie Sekcji Chile D. u. Oe. A.-V. J. Meichsner i W. Fietzen głośny z trudności Cerro Morado (5060 m) od strony pd. i wsch. W dniach 10—12 stycznia 1934 r. obaj Niemcy pokonali dolną część pd. ściany, poczem przedostali się na wsch. ścianę i w dniu 13 stycznia dokonali I. w. od wsch. na boczny wierzchołek. W dniu 14 stycznia przeszedł stąd J. Meichsner na główny wierzchołek (II w.). Warunki pogodowe były niekorzystne, trudności techniczne znaczne.

Zygfryd Neumann, pejzażysta niemiecki, w poszukiwaniu tematów górskich podróżujący po całym świecie (znają go i Tatry) dokonał w czerwcu 1934 r. I. w. na wulkan Tungurahua (ponad 5000 m) w Ekwadorze.

Alpinizm na Bałkanach. W lecie b. r. dokonała osobna ekspedycja niemiecka dra Auera i B. C. Mosla rozwiązania głównych problemów w Rila- i Pirin-Daghu (pn. ściana Moljowicy i pn. grań Momin Dworu), a także w Bułgarji (pn.-wsch. ściana El Tepe, 2920 m). Przy okazji dodajmy, że w tak mało do niedawna znanych Alpach Albańskich rozwija się ostatnio coraz żywiej ruch wysokogórski, uprawiany przedewszystkiem przez Jugosłowian i Niemców. Właśnie w b r. dokonali tutaj B. Bauer, dr. A. Martin (ongiś znakomity taternik) i dr. L. Obersteiner częściowo nowych wejść na 22 wierzchołki.

Dawny problem Pic d'Olan, przejścia jego pn.-zach. ściany, rozwiązali w dniach 23-24 sierpnia 1934 r., znani alpiniści L. Devies i G. Gervasutti.

NOTATKI

Ks. dziekan Jan Humpola objął z dniem 15 maja b. r. czynności kapelana Pana Prezydenta Rzpltej. W gronie taterników fakt ten wzbudził powszechną radość.

Międzynarodowa współpraca alpinistyczna. W dniach 6 i 7 września b. r. odbył się w Pontresinie nowy kongres towarzystw turystyki górskiej, mówiąc ściślej: I. Walne zgromadzenie Międzynarodowej Unji Alpinistycznej (kongres — ogółem piąty — odbędzie się dopiero w 1935 r. w Barcelonie). Na zjeździe obecnych było 27 delegatów, reprezentujących 18 stowarzyszeń z 12 państw (narody anglosaskie, oraz Niemcy, do Unji, jak wiadomo, nie należą). Z natury rzeczy zgromadzenie zajmowało się przedewszystkiem rozlicznemi sprawami ogólnej turystyki w górach, jakie nastręcza życie. Tak więc uchwalono np. założyć międzynar. kasę reasekurującą górskie towarzystwa ratownicze, wydać międzynar. wydawnictwo, polecić stałemu biuru w Genewie dalsze studja nad wzajemnością zniżek i t. p. Założono też stałą komisję studjów nad lawinami alpejskiemi, i powitano z uznaniem powstanie obok turystycznej konwencji granicznej polsko-czeskosłowackiej podobnej konwencji pomiędzy Włochami a Austrją.

Wiele miejsca zajęły w obradach sprawy ochrony przyrody. Wypowiedziano się zdecydowanie przeciw budowie kolejek w pasie szczytowym, delegacja francuska wystąpiła również z programem wstrzymania budowy dalszych schronisk w terenie wysokogórskim. Uchwalono jednomyślnie, aby w głębi gór nie dopuścić pod żadnemi warunkami do istnienia przemysłu hotelarskiego.

Polskę na zjeździe reprezentował prof. dr. W. Goetel, który wygłosił odczyt *Parki narodowe w pogranicznych górskich masywach.* Prof. Goetel przybył do Pontresiny wprost z Lublany, gdzie w dniu 30 sierpnia b. r. odbyło się doroczne posiedzenie Rady ASTT. Powzięto tu szereg uchwał natury ogólno-turystycznej i administracyjnej, prowizorycznym prezesem Rady obrano prof. Goetla. W Lublanie reprezentowali polskie T-wa turystyczne prof. dr. Goetel, prez. S. Osiecki i mjr. B. Romaniszyn.

Francuscy turyści górscy, członkowie CAF, zwiedzili Tatry w lipcu b. r. Znajdowali się wśród nich również i alpiniści, którzy m. i. przeszli pn. ścianę Mnicha.

Nasze ilustracje. Do niniejszego zeszytu dołączamy jako osobne wkładki: mapę Ramady, oraz szereg fotografij, ilustrujących teren i dzieje polskiej wyprawy w Andy. Mapa Ramady znajduje bliższe objaśnienie na str. 76, podajemy kilka szczegółów odnośnie do fotografij:

1) całostronicowy widok na Mercedario jest w istocie widokiem od wsch., zdejmowanym z pn. grani Cerro Wanda; na pierwszym planie widzimy łańcuch Cordon del Mercedario, z l. strony wyodrębnia się piramida Cerro Negro.

2) na całostronicowej fotografji Aconcagua od wsch. widać z pr. strony spływający od szczytu Lodowiec Polaków; zdjęcie robione jest z pobliża bazy w Dol. Relinchos, z wys. ok. 4000 m, odległość od szczytu Aconcagua wynosi w linji powietrznej ok. 10 km.

3) zdjęcie U progu nieznanej ziemi przedstawia postój na Paso de Ansilta, z widokiem na Cordillera de Ansilta; a zdjęcie Po świeżym śniegu bazę pod Mercedario, patrzącą ku Dolinie Arroyo Blanco i z widokiem na Cordon del Mercedario.

4) na fotografji, która ilustruje przemarsz przez Rio Blanco, widzimy na przodzie klacz z dzwonkiem (t. zw. *madrina*), która prowadzi całą *tropę;* widok na pasmo Ramady od pn.-wsch. został zdjęty z wierzchołka Cerro Wanda; na pierwszym planie stoi inż. Karpiński, w głębi widać od l. ku pr. stronie: Alma Negra, La Mesa, Cerro N i Portezuelo de los Penitentes.

5) Cerro Negro z Ventisquero Norte sfotografowany został z dolnej zerwy lodowca z wys. ok. 4300 m; Cerro Negro zwrócony jest ku nam swą pd. ścianą, alpiniści polscy zeszli z niego granią schodzącą na pr. stronę.

6) zdjęcie Aconcagua z Dol. Relinchos wykonane zostało z wys. ok 3600 m, wierzchołek Aconcagua oddalony jest ok. 15 km w linji powietrznej, na pr. odeń wznosi się szczyt bez nazwy, wysoki ok. 6000 m; widok z pn. wsch. stoków Aconcagua ku pn. (z wys. ok. 6200 m) obrazuje na pierwszym planie grupę Cerro del Volcan, której lodowce spływają do Doliny Vieja Alta w głębi, odległy o 80 km, wznosi się Masyw Ramady: najwyższy Mercedario, na jego tle Mesa i Alma Negra, na pr. rozłożysty Cerro Ramada.

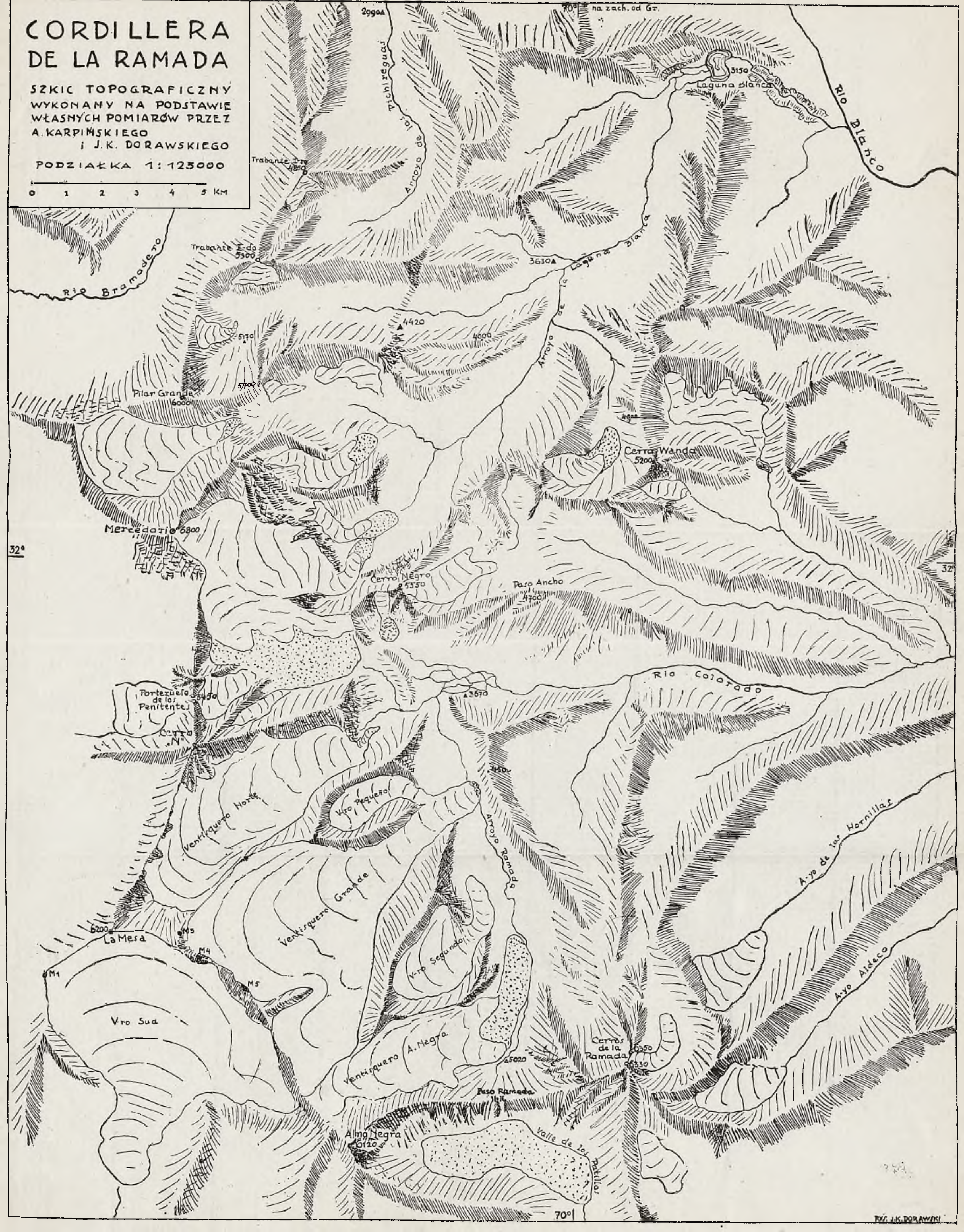
Z PIŚMIENNICTWA

Stefan Daszyński o Polskiej wyprawie w Andy. Stefan Daszyński dorywczo tylko i przez krótki czas przebywa w Polsce: dlatego też pióro jego nie jest reprezentowane w bież. zeszycie «Taternika», W czasie pobytu w Polsce zdołał jednak Daszyński opisać również dzieje wyprawy andyjskiej. Obszerne omówienie dziejów wyprawy, ogłoszone przezeń w ostatnich «Wierchach» (z 1934 r.) i zilustrowane szeregiem fotografij i szkiców, jest należnym gestem głównego wydawnictwa PTT w stosunku do pierwszej polskiej wyprawy alpinistyczno-egzotycznej. Daszyński skorzystał również ze swej doskonałej znajomości angielszczyzny, aby w «The geographical Journal» ogłosić skrócony lecz niemniej ścisły referat z tejże wyprawy. «Taternik» już w 1932 r. (str. 104) nawoływał o nawiązanie stosunków publicystycznych z alpinizmem angielskim. Wiadomo jednak, że obecny redaktor «The Alpine Journal», pułk. L. Strutt, dąsa się na cały współczesny alpinizm sportowy, a na alpinizm polski w szczególności; trafić zatem do «Alpine Journal» niesposób. Trzeba jednak stwierdzić, że i «The geographical Journal» jest wydawnictwem b. poważnem, zasłużonem i szeroko rozpowszechnionem, które już zresztą niejednokrotnie zamieszczało różne artykuły i opisy alpinistyczne. Tem bardziej jest charakterystyczne, że pułk. Strutt nie dostrzegł potrzeby wzmiankowania nawet w listopadowej części «Alpine Journal» z 1934 r. o sukcesach polskich, przewyższających znacznie (co np. Niemcy chętnie przyznają) wyniki innych ekspedycyj andyjskich w latach ostatnich, gdy te właśnie inne wyprawy znajdują na łamach «Alpine Journal» życzliwe miejsce i omówienie. *(jaszcz)*

TREŚĆ. S. Osiecki: Mercedario. — J. K. Dorawski: Ramada! — W. Ostrowski: 7350 metrów. — A. Karpiński: Kronika wyprawy. — J. K. Dorawski: Teren działania i wyniki eksploracji. — A. Karpiński: Doświadczenia górskie z Andów. — J. K. Dorawski: Doświadczenia fizjologiczne. — A. Karpiński: Ekwipunek wyprawy. — S. Osiecki: Parę wspomnień... — J. K. D.: Badania topograficzne wyprawy. — J. K. Dorawski: Bibljografja centralnego odcinka Andów argentyńskich. — J. A. Szcz.: Włoska wyprawa w Andy 1934. — Karta żałobna. — Kronika alpinistyczna. — Notatki. — Z piśmiennictwa.

Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: J. A. Szczepański.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.


CORDILLERA DE LA RAMADA
SZKIC TOPOGRAFICZNY WYKONANY NA PODSTAWIE WŁASNYCH POMIARÓW PRZEZ A. KARPIŃSKIEGO I J.K. DORAWSKIEGO
PODZIAŁKA 1:125000
0 1 2 3 4 5 KM
70° na zach. od Gr.
2990
3150
Laguna Blanca
Rio Blanco
Arroyo de los Pichireguas
Trabante I-ro
Trabante II-do 5300
Rio Bramadero
3630
Arroyo de la Laguna Blanca
4420
4000
5170
5700
Pilar Grande 6000
4900
Cerro Wanda 5200
Mercedario 6800
32°
Cerro Negro 5550
Paso Ancho 4700
Portezuelo de los Penitentes 5450
Cerro N
3670
Rio Colorado
Vro Pequeño
Ventisquero Norte
Ventisquero Grande
Arroyo Ramada
A-yo de los Hornillas
6200
La Mesa
M1
M3
M4
M5
V-ro Segundo
V-ro Sud
A-yo Aldeco
Ventisquero A. Negra
5020
Cerros de la Ramada 6350
Paso Ramada
Alma Negra 6120
Valle de los Patillos
70°
RYS. J.K. DORAWSKI